

Mariusz Szczygiel

KAPRYSIK

DAMSKIE HISTORIE



BIBLIOTEKA GAZETY WYBORCZEJ

Mariusz Szczygieł

Kaprysyk, damskie historie

Od autora

Od dziecka dobrze mi szło słuchanie. Wychowałem się w pralni hotelu Pod Basztą w Złotoryi (przed wojną Goldberg). Tam pracowała moja mama Stefania, moje ciotki Halina i Krystyna, a moja siostra cioteczna Hela była pokojową.

Kiedy przed trzynastą wracałem ze szkoły do pralni, pokojowe właśnie zwoziły na dół brudną pościel i opowiadania. Naga dziewczyna skoczyła z okna na szóstym piętrze i żeby zanieść ją z powrotem do hotelu, nosze zrobili z drzwi. Dwie kobiety mieszkały dłuższy czas na siódmym, jedna okazała się mężczyzną, który miał dowód na kobiece nazwisko. Małżeństwo Niemców na stole w pokoju 302 postawiło kryształową wagę, a po dwóch dniach nasypali do niej ziemi i zapakowali do walizki.

Do słuchania wychował mnie w latach siedemdziesiątych hotel Pod Basztą i jestem mu za to wdzięczny.

Słuchać - prosta rzecz. Wystarczy nie krzywić się, że czyjeś życie jest nie takie, jakbyśmy chcieli.

(Pisanie - czyli zajmowanie ludziom czasu - jest już o wiele trudniejsze).

Jak wiadomo, kobiety mają więcej do powiedzenia niż mężczyźni. Uważam, że ludzkość nie robi z tego zjawiska wystarczająco dobrego użytku.

Największą prawdę o naturze człowieka też usłyszałem. Od mojej przyjaciółki, aktorki Zofii Czerwińskiej. Nikt lepiej nie opisał ludzkiego nienasycenia, niespełnienia i zachłanności niż Zosia w jednym zdaniu.

Brzmi ono: „Najlepsze miejsce na namiot jest zawsze trochę dalej”.

Niektóre reportaże tego zbiorku są o namiocie, który nie stanął we właściwym miejscu. Niektóre - przeciwnie - o namiocie rozbitym przynajmniej przez chwilę tam, gdzie jest najładniej.

Jeśli ktoś chce zaprosić mnie do swojego namiotu, a to, co on przykrywa, warte jest opisania - czekam na list: damskiehistorie@gazeta.pl lub:

„Wysokie Obcasy” ul. Czerska 8/10

00-732 Warszawa

„Damskie historie”



Reporter Szczygiel, rok 2009

Reality



1. Janina Turek, matka trojga dzieci, 1.10.1996 r. zjadła na obiad zupę pieczarkową z makaronem, gulasz z kartoflami, buraczki i winogrona na deser. Czterdzieści lat wcześniej, 19.02.1956 r., też zjadła obiad zwyczajny i pożywny: kielbasę grzaną z musztardą kremową, chleb, kompot z jabłek, łoż kakaowy i keks.

21.03.1973 r. odebrała dwa głuche telefony;

21.06.1976 r. znalazła na ulicy nowe skarpetki elastyczne dziecięce;

15.08.1981 r. odstąpiła synowi kartki na mięso;

2.01.1982 r. córka przyniosła jej kilka jabłek;

7.12.1983 r. były mąż przyniósł jej dwie przeczytane gazety;

3.02.1985 r. zapukał do niej nieznajomy, pomylił mieszkania;

3.01.1997 r. poczęstowała się chipsami u przyjaciółki;

1.02.1998 r. wyjrzała przez okno. Zobaczyła, jak z auta Volvo wysiada starszy, tęgi Austriak.

2. W codzienności cały czas coś się dzieje. Nieprzeliczone drobne czynności wykonujemy, nie żywiąc nadziei, by utrwaliła je nasza pamięć, a co dopiero pamięć innych. Nie dla pamięci są jednak podejmowane, lecz z konieczności. Z czasem zapomniany zostaje każdy wysiłek podjęty w codziennej krzątaniu.

Janina Turek - gospodyni domowa - przez ponad pół wieku obiektem swoich obserwacji uczyniła właśnie to, co codzienne, więc niezauważalne. Jako pierwsza dowiedziała się o tym jej córka. Po śmierci mamy, jesienią 2000 roku, Ewa Janeczek otworzyła szafę i ujrzała stosy zeszytów. (Potem okazało się, że zeszytów jest 728, a jeszcze potem, że o kilkanaście więcej). Wyszło na jaw, że mama zapisała wszystko, co robiła. Nieprzerwanie, dzień po dniu, od roku 1943 do 2000 zanotowała: ile razy odbierała telefon w domu i kto dzwonił (38 196 razy); ile razy dzwoniła do kogoś (6257 razy); gdzie i kogo widziała przypadkowo i powiedziała „Dzień dobry” (23 397 razy); ile odbyła spotkań umawianych (1922); ile dała prezentów, komu i jakich (5817); ile dostała prezentów (10 868); ile razy grała w brydża (1500); ile razy w domino (19); ile razy była w teatrze (110); ile obejrzała programów w telewizji (70 042) i tym podobne.

Przez 57 lat zanotowała i policzyła wszystkie przyjęcia, wycieczki, tańce, przedmioty znalezione, listy, lektury, wyjścia do kina, noclegi poza domem, wizyty przyjmowane, wizyty składane, śniadania, obiady, kolacje. Najpierw prowadziła jeden zeszyt dla wszystkich dziedzin życia, potem każda dziedzina otrzymała własny notes. Nie notowała każdego posiłku, tu stosowała pewien system: w jednym roku notowała wszystkie śniadania, w następnym - obiady, w jeszcze następnym - kolacje. Po trzech latach - znów śniadania. Dzięki temu znamy 4463 śniadania Janiny Turek, 5387 obiadów, 5936 kolacji.

Odnutowywała nawet reklamy obejrzone w telewizji. Zaznaczała, czy program był czarno-biały, czy kolorowy i na jakim go widziała odbiorniku. Ostatnio na elemisie.

Spodobałoby się to filozof Jolancie BrachCzainie, która opisała metafizyczny wymiar codzienności. Podstawę naszego istnienia stanowi bezwiedne krzątactwo. „Nie można godzić się na rolę nieświadomego wyrobnika czynności egzystencjalnych. I w obronie własnej trzeba ściagać sens codzienności jak przestępcę” - napisała uczona.

Janina Turek, mieszkanka Krakowa, zaczęła się na swoją codzienność. Mimo że przeczytała 3517 książek, nie czytała żadnej książki Jolanty BrachCzainy. Jednak z własnego wyboru, intuicyjnie postanowiła nobilitować swoje krzątactwo. Każdy, nawet banalny fakt z jej życia otrzymywał w dzienniku swój numer.

Przy filmach dbała o wpisanie nazwy kina. Kiedy umierał Stalin, Janina Turek była na filmie „Fanfan Tulipan”. Weszła do kina Wanda jeszcze za życia Stalina, wyszła po jego śmierci. Córka zaczęła czytać wszystko pół roku temu i do dziś nie skończyła.



Janina Turek

jako sekretarka, rok 1944. 13.12.1981 roku. Janina Turek zjadła na obiad „omlet szybki” i suchary (poz. 2124). Odwiedziła ją córka z mężem i dziećmi („Wizyty zapowiedziane”, poz. 3605, zes. 237/II). Przyniosła skrzynki z drewna i dykty po drożdżach na podpałkę („Prezenty otrzymane”, poz. 5184). Gdy dzieci i wnuki poszły, ktoś znieuważa zapukał („Wizyty niezapowiedziane”, poz. 3606): „Wizyta nie wiadomo kogo, bo nie otworzyłam drzwi”. Obejrzała w telewizji „Gdy Polska da nam rozkaz” - recital Adama Zwierza (poz. 11 986). Była w kościele, widziała 17 osób („Osoby widziane mimochodem”, poz. 58 213-58 229). Wieczorem skończyła „Zeldę” Nancy Milford (poz. 2435). Następnego dnia wzięła się do „Skalpel ma dwa ostrza”.

W dziesiątą rocznicę stanu wojennego, 13.12.1991 r., zjadła na obiad: „kotlet z kartoflami i z przysmażoną cebulką, surówkę z selera, ciasto francuskie”, a po nim wypila „wodę kryniczankę z sokiem z pomarańczy i z kiwi - owoc zagraniczny”.

4. Od wojny mieszkała w tym samym XIX-wiecznym dwupiętrowym domu w Krakowie, na Parkowej 6. Najpierw z mężem i dziećmi, potem z mężem, a potem przez trzydzieści lat sama. Na parterze miała trzy okna wychodzące na ulicę. Wychylając się z nich, po lewej widziała Rynek Podgórski z kościołem, po prawej - park. To był jej mikrokosmos. Ważni byli ci, którzy przechodzili w zasięgu jej wzroku.

„Osoby widziane mimochodem” to osoby, które знаła osobiście lub z widzenia, widziała je na ulicy, ale nie zamieniła z nimi ani słowa. Nie należy ich mylić z „Osobami widzianymi przypadkiem”. Do tej grupy kwalifikowała tych, z którymi zamieniła słowo lub ukłon.

Łącznie ujrzała mimochodem obok swego domu 84 523 znajome osoby:

7713 - Parkowa - wysoka tęga blondyna, która pracowała w sklepie spożywczym przy Limanowskiego;

7685 - Parkowa - jedna pani podobna trochę do żaby;

7756 - Parkowa - Aniela Ryszkowa (dawniej omyłkowo zapisywana jako Nowakowa);

7908 - Parkowa - jeden cacany chłopczyk;

17 110 - Parkowa - Ewa (Ewunia) i Jacek (Jacuś) Rodakowie z córeczką (dawniej zwaną „niemowlęciem”);

19 539 - Rynek Podgórski - żona z młodego małżeństwa, które miało trzy wilczury, z jednym wilczurem;

19 945 - Parkowa - małżeństwo modernistyczne;

69 896 - Parkowa - dziewczyna bardzo podobna do Grecii Colmenares (aktorka z seriali

„Maria” i „Manuela”);

80 825 - Parkowa - Sulichowa z psem Miśkiem (dawniej: „pieskiem”);

18.09.1998 r. nad ranem w samochodzie Wysockich zaparkowanym na ulicy siedział Wysocki z kobietą, która nie była Wysocką. Janina Turek widziała wiele, lecz była dyskretna. Nie pozwalała sobie na swobodną interpretację faktów. Nigdy nie sugerowała, że ktoś spacerował w nocy z kochanką. Ewentualnie - z „panią, o której istnieniu żona raczej jeszcze nie wie”.

Kilka razy odnotowała przejście ulicą profesora Aleksandra Krawczuka.

Czasem denerwowała dorastające dzieci, potem - dorastające wnuki. Nie była natrętna, ale lubiła ustalić stan faktyczny. - Babcia, gdy do nas przyszła i tylko zobaczyła nową osobę, zaraz po jej wyjściu wypytywała, co za koleżanka była u mnie i jak się nazywa - mówi wnuczka Luiza. - „Po co ci to, babciu” - pytałam, bo całe życie dziwiło mnie, że chce znać nazwiska osób, które widziała raptem minutę.

- Jak my się denerwowaliśmy, gdy delikatnie, ale uporczywie dawała do zrozumienia, że musi znać nazwisko kolegi - opowiada Ewa. - Wtedy się irtowała i mówiła, że nasze pokolenie dotknęło dna: potrafimy siedzieć z kimś w restauracji przy jednym stoliku i nie znać jego nazwiska.



Na wakacjach

w Austrii, rok 1984⁵. Janina - z domu Gurtler - marzyła o skończeniu farmacji. Miała 18 lat, gdy wybuchła wojna, nie zdała więc matury. Jej mama prowadziła dom, ojciec był urzędnikiem w elektrowni i nauczycielem rysunku w gimnazjum plastycznym.

Janina powieliła życie swojej mamy: była panią domu. Ale z ambicjami - skończyła na przykład kurs angielskiego dla zaawansowanych. Czesław Turek był inżynierem, budował drogi i mosty, dostawał odznaczenia. Był przystojny i lubiły go kobiety. Wzięli ślub w roku 1941, rozwiedli się w roku 1958. Po rozwodzie przyjaźniła się z mężem, w „Prezentach otrzymywanych” raz po raz notuje przyniesione przez niego czasopisma. Zmarł w 1988 roku. Mieli troje dzieci: córkę Ewę i dwóch synów, Lesława - linotypistę, i Jurka - inżyniera, który zamieszkał w Austrii.

Na Parkowej Janinę Turek pamiętają wszyscy: była miła i nie dawała po sobie poznać, że jej rodzina trzymała w domu służącą. Organizowała tańce, wycieczki i brydża. Pracowała jako sekretarka. Nie dawała też poznać, że tęskni za mężem. Ewa mówi, że po rozstaniu z ojcem mama nigdy nie przyprowadziła do domu żadnego obcego mężczyzny.

Na Mikołaja w 1946 roku wręczyła mężowi: „1. papierosy amerykańskie chelsea, 2. papierosy bałtyk, 3. św. Mikołaja z cukru. To wszystko w żelatynowej torebce, przybranej u góry różyczką srebrnego koloru i zielenią oraz jasnoróżową wstążką z przywiązaną jedną paczką amerykańskich papierosów raleigh”.

6. Kiedy nieznajoma w pociągu poczęstowała ją mandarynką, Janina odnotowała jedną mandarynkę w „Prezentach otrzymywanych”. Prezentem nazywała zarówno serwis z porcelany na 12 osób, jak i kwiatek polny od wnuczki. Napiwki dla listonosza czy też okrawki z szynki („prezent dla psa Dżokusia”).

Skrupulatność w zapisywaniu prezentów nie świadczy jednak o tym, że Janina Turek miała niezdolny charakter, jak na przykład Tomasz Mann. Jego dzienniki odkrywają skrajny egocentryzm pisarza. Mann notował wizyty u dentysty, wszystkie „uporczywe obstrukcje”, „uderzenia krwi do głowy”, wizyty u fryzjera, napiwki dla służących, cenę wypitego wina itd. Na podstawie zapisków Janiny można uznać, że była towarzyska i oddana ludziom. Lubiła świętować i obdarowywać znajomych. Zjedzenie bitej śmietany na deptaku w RabceZdroju odnotowywała jako „wydarzenie towarzyskie”. Dostawało ono numer i w podsumowaniu było tak samo ważne jak przejazd Fidela Castro przez miasto, obserwowany z klombu. Swoją codzienność Janina Turek obiektywizuje. Spogląda na siebie z zewnątrz jak własna księgowa. Kiedy w 1960 roku ujrzała mimochodem na ulicy swojego syna Leszka z kolegą, zapisała tę obserwację bezstronnie: w „Mimochodem” poz. 36 364 - „Lesław (Lesiu) Turek i Bogdan Zaleski”. Ani słowem nie wspomniała, że to jej najstarszy syn.

Ta rzeczowość szokuje córkę. Tata przeszedł przez dwa obozy koncentracyjne. Pierwszą datą, jaką Ewa odszukała w zeszytach mamy, był powrót ojca z obozu. Okazało się, że Janina nie napisała nic, czego byśmy oczekiwali, na przykład: „Powrót mojego ukochanego męża, o którego tak się martwiłam, z Oświęcimia”. Janina Turek odnotowała tylko „wizytę Czesława Turka (Sławka)”. W dziale „Wizyty niezapowiedziane”.

Co więcej, o sobie samej także pisze w trzeciej osobie: 23.03.1974 r. - „Brydż u Janiny (Aćki) Turek przy ul. Parkowej”.



1958 rok⁷. Tak naprawdę nigdy nie

pisala o sobie. Jeśli zapisała, co zjadła - był to zapis o jedzeniu, a nie o tym, czy jej smakowało. Jeśli zapisała, jaki przedmiot przypadkowo znalazła - był to zapis o tym przedmiocie, a nie o tym, czy znalezisko sprawiło jej jakąś szczególną radość. Zastanawiamy się z córką, dlaczego jej mama wpadła na pomysł księgowania zdarzeń. - Może to uraz - mówi Ewa Janeczek. - Przed wojną, w '38 roku, mama jako nastolatka prowadziła pamiętnik. Ale znalazła go babcia i przeczytała. Pamiętnik zniknął na zawsze. Był tam fragment o orgii, w której brała udział z kolegami. Tylko że cała orgia to był taniec na stole. Babcia zrobiła jej awanturę przy jakimś chłopcu. Mama napisała potem, że gubi ją używanie nieodpowiednich słów. „»Orgia« oznacza chyba coś innego”.

Po zbezczeszczeniu intymnego pamiętnika 16-letnia Aćka poczuła się jak „czarownica przeznaczona na stos”. „Jakby krew zalała mi głowę” - napisała. Od tego czasu przestała zwierzać się na papierze.

Tajemnice Janiny Turek musiały kryć się w przemilczeniach.

Ludzie pisali dzienniki z różnych powodów. Lechoń notował wydarzenia dnia w celu autoterapii. Tomasz Mann - gdyż lubił „przytrzymać uciekający dzień”. Fernando Pessoa - bo chciał „swoje życie uczynić własnością ludzkości”, a jego bohater księgowy Soares - bo „lepiej jest pisać, niż odważać się żyć”. Gombrowicz pisał dziennik, by „rozwiązać swój największy problem: ja”. Tyrmand chciał poprzez dziennik „sprawdzenia siebie, co jest klasycznym pożądaniem wyrzuconych na margines życia”. Dla Pascala zaś skrupulatne

notowanie codziennych zdarzeń było „stylem, w jakim powoli umiera przeszłość”.

Powodu, dla którego pisała Janina Turek, nie znamy.

Dla psychoterapeuty byłoby to jasne: nerwica natręctw. Dla rodziny Janiny Turek jasne nie jest. Gdyby tak było, Claude Monet, który przez 21 lat malował te same nenufary, też miałby nerwicę natręctw. Ewa nadal przegląda papiery, zdjęcia i zeszyty.

Pisała w tajemnicy. Nie chciała, aby ktokolwiek wiedział o istnieniu jej dzienników. Kiedy wyjeżdżała z domu, w gościach notowała wieczorem coś z boku na skrawkach papieru. Nie zanotowała żadnych poglądów. Ponumerowanych zdarzeń nigdy nie omotała żadną refleksją.

Może posegregowanie życia na działy i codzienne dodawanie nowych pozycji w każdym z nich uspokajało ją? W klasycznych dziennikach intymnych, które po rewolucji francuskiej zaczęły prowadzić kobiety ze środowisk mieszczańskich, badacze dopatrywali się roli terapeutycznej, uspokajającej, wyciszającej. Codzienne zapisywanie miało dać piszącym kobietom poczucie bezpieczeństwa. Mimo że moda, by pisać o sobie, bardzo się upowszechniła w XIX wieku, kobiety kryły się z pisaniem.

Czy Janina Turek wracała do starych zapisków, bo miała potrzebę przeżycia jeszcze raz tego samego? - Nie wiem - mówi córka. - Nie wiem - mówi wnuczka. - Nic nie wiemy - mówi zięć.



Fragment pierwszego zeszytu z

1943 r.8. Gdy zaczęła pisać dziennik swego życia, nie miała jeszcze 22 lat. Kraków był stolicą Generalnej Guberni, a rynek nazywał się AdolfHitlerPlatz.

Zacząła notować zaraz po aresztowaniu męża przez gestapo. Prawdopodobnie ktoś doniósł na niego, że działa w konspiracji. Była wtedy w piątym miesiącu ciąży z najstarszym synem.

Mieszkała z rodzicami na Słonecznej 4, w jednym z niewielu przedwojennych krakowskich mieszkań, które miały łazienkę. Niemcy przejęli dom i przenieśli lokatorów na Parkową obok Rynku Podgórskiego. Podgórze było biedną dzielnicą na prawym brzegu Wisły. Adolf Nowaczyński napisał: „Zobaczyć Podgórze i umrzeć”. Niewiele było tam domów z kanalizacją i gazem. Nie było nawet brukowanych ulic. Janina Turek aż do 2000 roku narzekała na zimne mieszkanie. Czuła się zdegradowana przez tę dzielnicę. Blisko jej domu stała jedna z czterech bram do getta.

W czerwcu 1943 roku urodziła Lesława.



Zeszyty i notatki

Janiny Turek w mieszkaniu córki, rok 2001 Niemcy za wypuszczenie męża zażądali pieniędzy. Zbierała je wśród rodziny i przyjaciół. Gdy miała całą sumę, poszła do gestapo, ale okazało się, że Czesława Turka w więzieniu na Montelupich już nie ma. Został przewieziony do Oświęcimia i nic nie można było zrobić. Co dwa i pół dnia kończyła czytać książkę. W całym 1943 roku przeczytała ich 148.

Kiedy jesienią wypełniała swój pierwszy zeszyt z działami: „Kino”, „Lektury”, „Wycieczki”, „Rewie”, urzędujący w Krakowie gubernator Hans Frank wprowadził stan wyjątkowy. Od tej pory zgodnie z prawem można było mordować ludzi według swobodnego uznania policjanta. „Nie wahałem się oświadczyć Führerowi, że za jednego Niemca będzie rozstrzelanych stu Polaków” - zapisał Frank w swoim dzienniku. „Przygnębienie jest trudne do opisania” - zanotował 18.10.1943 r. mieszkaniec Warszawy Ludwik Landau. Tego dnia Janina Turek zanotowała, że była w kinie Sztuka na „Walcu miłości”.

Dwa dni później na ulicy Wielickiej Niemcy przeprowadzili krwawą egzekucję. Nasiliły się łapanki. Janina od dwóch wieczorów czytała „Dzienniki” Katarzyny Mansfield. Ta brytyjska pisarka zmarła młodo. Większą część życia przeleżała w łóżku, żyła na marginesie wydarzeń. „Gdyby mi było dozwolone” - pisała Mansfield - „wzniesć jeden okrzyk do Boga, zawołałabym: Chcę być rzeczywista!”.

Janina Turek musiała wracać do tego zdania, bo książka jeszcze dziś otwiera się sama na tej stronie.

Niemcy udawali, że życie płynie normalnie. W październiku zmienili czas z letniego na zimowy, otworzyli w Krakowie szkołę rybacką, zorganizowali wystawę osiągnięć włókiennictwa oraz wystawę chopinowską, która miała udowodnić, że Chopin był Niemcem. Janina była pięć razy w kinie, dwa razy na imieninach. Dawała kwiaty.

Skończyły się pieniądze, więc pili z rodzicami herbatę z cukru palonego, ale nie miało to nic wspólnego z herbatą. Cukier paliło się na patelni na brązowy kolor i po zastygnięciu rozpuszczało w wodzie. Były dni, gdy dominował dżem wiśniowy. Cały obiad: woda z dżemem wiśniowym, bułka z dżemem wiśniowym.

Może Janina wierzyła, że gdy mąż wróci do domu, ona pokaże mu spis rzeczy, które wydarzyły się w jej życiu bez niego? Może postanowiła, że dopóki będzie notować, Czesław będzie żył?

Ale dlaczego spisywała wszystko potem, kiedy mąż był obok?

W dniu wyzwolenia Krakowa, 18.01.1945 r., zjadła czarny chleb i popiła czarną kawę. Nocą czytała Hermanna Hessego. Nazajutrz przed śniadaniem narysowała w zeszycie poprzeczną kreskę. Napisała pod nią: „POLSKA, dawniej - Generalna Gubernia”, a potem, że zjadła

cukierka z mleka i słodki.

9. Ofiary na tacę:

1955 - 2 zł;

1965 - 5 zł;

1977 - 10 zł;

1981 - 20 zł;

1986 - 50 zł;

1990 - 500 zł;

1991 - 2000 zł;

1991 - 10 000 zł;

1993 - 50 000 zł;

1995 - 2 zł;

1997 - 5 zł.

Potem przestała chodzić do kościoła.

10. Zeszyty po śmierci Janiny zostały przeniesione do domu córki. Ogromna willa sąsiaduje ze znaną na całą okolicę piekarnią, którą prowadzi zięć. Rodzina wydzieliła pokój na pierwszym piętrze, dzienniki leżą na półkach i na podłodze. W stosach - według dziedzin życia.

Ewa Janeczek (prawdziwa dama, zupełnie jak Janina - mówią o niej sąsiedzi) porządkuje w rękawiczkach mieszkanie po mamie. Przygotowuje materiały dla Księgi rekordów Guinnessa - jest szansa w kategorii „najdłużej pisany pamiętnik”.

Córka odkrywa nowe tajemnice.

- Są! Są widokówki, które mama napisała - telefonuje do mnie.

- Jednak nie wysyłała ich nigdy do nikogo - dziwi się po chwili.

11. Okazuje się, że istnieją widokówki, które mama pisała chyba tylko dla siebie. Janina Turek wreszcie przemawia z nich swoim głosem.

Pocztówka z marca 1957 roku, zapisana w 36. roku życia, jeszcze przed rozwodem: „Nie żądać wiele. Nie mówić zbyt wiele o sobie”.

Widokówka zapisana po Wielkanocy 1976 r.: „Minęły święta. Spędziłam je dość efektownie w towarzystwie Dzieci i ich Ojca. Przecież to 18 i pół roku rozłąki. Trudno się nagiąć”.

Latem 1976 roku, w wieku 55 lat: „Rabka. Kupiłam sobie koszulę nocną, którą będę nosić jako sukienkę. O ile się odważę”. Także latem 1976 r.: „Jesteśmy z wizytą niezapowiedzianą, czego nie znoszę”.

Widokówka zapisana, gdy skończyła 59 lat: „Skąd bierze się u mnie tyle tęsknoty za czymś, ten niedosyt serca? Muszę być bardzo opanowana. Nie uzewnętrzniać potrzeb”.

W maju 1981 roku: „Upały. Tęsknię za czymś, co trudno mi pojąć i wysłowić. Chciałabym jechać daleko z kimś takim samym jak ja. Ale rzeczywistość nie ma złudzeń. Tkwię na Parkowej, która na szczęście w lecie jest bardzo ładna i inna od innych”.

Lipiec, stan wojenny: „Wczasy. Sława. Nie tak daleko stąd jest baza odrzutowców. Huk. Jak na wojnie. Przeżyłam wojnę od 18. roku życia. Nie chcę jej nawet wspominać!!!”.

Potem widokówka zapisana przed 61. urodzinami: „Mam towarzyszkę samotności: muchę. Jak jest ciepło w pokoju i gdy coś jem, to fruwa. Tak już jest od kilku tygodni”.

Dwa lata później: „Przeważnie w niedzielę jestem sama. Cicho upływa czas, nic nie chcę, na nic nie czekam. Będzie tak, jak ma być, nie będę się już buntować”.

Rok później: „Ile jest kobiet czekających na bocznym torze? Żyję, czy udaję, że żyję? To notowanie, ta statystyka ma mnie samą oszukać? Gdybym przestała zapisywać, musiałabym wrócić do siebie samej”.

Kartka napisana pół roku przed śmiercią: „Jestem na pograniczu życia i śmierci. 78 i pół roku życia, nie ma co się rozpędzać, trzeba raczej hamować. Dużo się w życiu wycierpiałam.

Metafizyka towarzyszyła mi prawie stale, nieraz trudno było się z nią uporać. Chciałam kochać, ale pragnęłam też być kochaną. I tu napotykałam wielkie trudności. Rezultat...

samotność!!!”.

33 dni przed śmiercią: „Zaczynam nastawiać się na złe tory, gaśnie optymizm, a wylania się rezygnacja. *Tak blisko końca dnia płynie moja łódź*”.

Ostatnia pocztówka, 32 dni przed śmiercią: „Wczoraj upadł mi na parkiet pilot od telewizora - rozpacz”.

12.11.11.2000 roku, sobota. Ostatni wieczór w życiu Janiny Turek wypełniło oglądanie telewizji. Umarła nagle. Dostała zawału nazajutrz, po wyjściu z domu. Przechodnie wezwali pogotowie. Nad ranem jeszcze napisała karteczkę: „Ewuniu, od trzeciej w nocy bardzo boli mnie serce. Pewnie zawał. Zażyłam tabletki”. Przed trzecią zdążyła obejrzyć:

71 040 - „Panorama”;

71 041 - „Słowo na niedzielę”;

71 042 - film „Zabawa w Boga”.

Wykorzystałem m.in.: Jolanta BrachCzaina „Szczeliny istnienia”, „Historia życia prywatnego” t. 4, pod red. Michelle Perorate, Ludwik Landau „Kronika czasów wojny”

Kaprysyk

Szanowna Redakcjo, prowadzę w Szczecinie małą, ale - śmiem powiedzieć - dość znaną pracownię fotograficzną. Pani A. pojawiła się u mnie niemal dziesięć lat temu przy okazji wykonywania zdjęć dyplomowych (została absolwentką Pomorskiej Akademii Medycznej). Teraz jest rok 2001, pani A. mieszka w małym miasteczku na Pomorzu Zachodnim, ma męża lekarza, dwoje dzieci, sama praktykuje jako stomatolog. Brydź z proboszczem i burmistrzem, herbatka z aptekarkową i panią mecenas, niedzielne spacerki i obiad w Pogodnej. Jednak do mnie przyjeżdża dalej. Nie zawsze regularnie, przerwy osiągały nawet dwa lata. Ale gdy się pojawia, przywozi wielkie torby ze strojami, pomysły na zdjęcia ma w głowie albo wpadamy na coś w trakcie fotografowania. Nie byłoby w tym jeszcze nic nadzwyczajnego, choć czas trwania fotograficznego programu pani A. i jego względna regularność mogą budzić szacunek i podziw. Prawdziwym powodem mojego listu jest jednak inna sprawa. Otóż ten zadziwiający wysiłek mojej bohaterki nie ma praktycznie żadnego konkretnego użytku. Jak mi wiadomo, nikt poza mężem tych zdjęć nie ogląda. Wielokrotnie próbowałem namówić moją Panią Bovary do jakiejś szerszej prezentacji fotografii, niewielkiej wystawy, ostatnio wspomniałem o waszej redakcji. Jednak pani A. uważa swoje upodobania za oznakę próżności i nieco powątpiewa w pozytywną ich ocenę. Może ta historia mogłaby mieć swój finał w gazecie? Do redakcji należałoby namówienie pani A. na ujawnienie jej nieznanych wizerunków. Proszę więc o dokonanie cudu.

*Sylwester Lechicki, Szczecin **Gerbera***

Pan Sylwester to szpakowaty mężczyzna około pięćdziesiątki.

Anna zwróciła jego uwagę, gdy po zdjęciach do dyplomu przyszła sfotografować się z gerberą. Rzadko kto wpada na taki pomysł. - Widać było po gerberze, że ta kobieta czegoś w życiu szuka.

- Ale ja nie dociekam czego - zastrzega.

Pijemy z Sylwestrem Lechickim kawę i oglądamy plon jego dwudziestoletniej pracy. Cała dzielnica Pogodno, gdzie mieści się zakład, wie: pan Sylwester pasjonuje się i tymi kobietami, którym robi zdjęcia do legitymacji studenckich, i tymi - do legitymacji związku emerytów. Plotkują, że miał pięć żon (nieprawda, ma drugą). Skończył chemię na politechnice, pracował w urzędzie skarbowym, był członkiem „Solidarności”. Po trzynastym grudnia musiał odejść z pracy i dzięki temu dziś możemy rozmawiać o fotografii z gerberą.

- A pani Ania jest jak ze „Starszych Panów” - opowiada. - Niczym Kalina Jędrusik. Z tym że

Jędrusik cechowała lekkość seksualna, a Anna jest subtelna. To kobieta nieprzystająca do rzeczywistości, jakby lekko unosząca się nad ziemią.

Dlaczego od dziesięciu lat odwiedza zakład pana Sylwestra?

- Skoro jesteśmy w klimacie „Starszych Panów” - mówi - ja bym to widział jako „kaprysyk”. No i teraz pan pojedzie do Anny i wejdzie w jej świat, czego panu zazdrościć.



„Gerbera”, rok 1991 **Klan** Anna bez

makijażu nie wynosi nawet śmieci.

Jej przyjaciółka mówi, że w piętnastotysięcznym Z. jest „księżną Dianą”. Gdy ukazuje się w drzwiach swego mieszkania w bloku, ktoś mógłby mnie ostrzec słowami Jeremiego Przybory: „Musimy na nią uważać. Ma w sobie za dużo kobiecości”.

Anna od razu pyta, czy chcę klapki, czy kaptcie. (Mówię, że bez obuwia w obcym mieszkaniu czuję się obnażony. Więc pozwala mi zostać w butach). Mieszkanie jest bardzo kolorowe, pokoje w pastelach: błękitny, żółcienie. Łososiowy jest salon, a firany w nim mają wzór w spiralki. I te spiralki widnieją powtórzone na ścianie, w szlaczku. Kupiła więcej materiału, wycięła spiralki z firan i nakleiła na tapetę.

W Z. na temat Anny dyskutuje się sporo.

- Ona jest bardzo zauważalna, a o takich osobach ludzie zawsze chcą wiedzieć jeszcze więcej, niż wiedzą - podkreśla przyjaciółka lekarka.

Niektórzy na przykład badali, czy na pewno są z doktorem Krzysztofem udanym małżeństwem. Są, a w Z. mówi się o trzech na to dowodach. Po pierwsze - w ich mieszkaniu, poza sypialnią, nie ma drzwi do pokoi. To znaczy, że nie mają potrzeby, by się przed sobą zamykać, by od siebie uciekać. Po drugie - jedna osoba z premedytacją pytała doktora, jakie suknie miały różne panie na zabawie sylwestrowej. I nic nie mógł sobie przypomnieć, a było dwa dni po Nowym Roku. Znaczy - nie ogląda się za kobietami. Po trzecie - co roku w

październiku chodzą na leśną polanę i we dwoje fotografują się na tle bajecznie czerwonych buków.

Siadamy do kolacji, Anna rozkłada cytrynowy obrus i stawia na nim szafirowe talerze. U niej w Z. - jak w „Klanie” - życie domowe to scena. W „Klanie” bohaterowie są tacy, jakimi Polacy chcieliby być: ucywilizowani mieszczańsko. Krystyna Lubicz nigdy nie stawia reklamówki z zakupami na stole, a puste nie zawiesza na drzwiczkach kuchennej szafki. Serka nikt nie je wprost z opakowania. Dzieci Anny: Jagódka (półtora roku) i Jacuś (siedem lat) ubrane są zawsze pod kolor. - Ach, jaką mi pan zrobił przyjemność tym porównaniem. „Klan” to mój serial - potwierdza Anna.

Więc w ich mieszkaniu nie ma żadnych kulis ze zmiętymi reklamówkami. Nawet mąż mówi starannie: „Żona interesująco zaprezentowała się na zdjęciach”. Pacjentki są mężem zachwycone. Jedna z nich ma 68 lat i, szczerze mówiąc, nie ma z czym przychodzić do dentysty, ale przychodzi. - Wie pan, doktor Krzysio jak mówi, to zawsze tak spokojnie. Nawet gdyby wojna wybuchła, to myślę, że też by mówił tak spokojnie. Dobrze pani Ani przy takim człowieku.



„Tulipanna”, rok 1997



Bez tytułu, rok 2001 **Sila** - „Panią

Bovary” przeczytałam z nieufności. Bo jestem nieufna. Skoro pan Lechicki porównał mnie do Bovary, musiałam sprawdzić, czy to, co mówi, nie jest dla mnie złe. Przeanalizowałam całą powieść i nie ma tam ze mną nic. To ciągle zdradzanie męża, ten fałsz, i ten arszenik na końcu, co to ma ze mną wspólnego? Jak panu Lechickiemu takie porównanie mogło przyjść do głowy?

- Przecież Emma - tłumaczę - szukała innego życia. Pani też, za pomocą fotografii, szuka siebie innej...

Zdumiona Anna zaprzecza.

- Bovary zapamiętała się, zagubiła i już musiała brnąć do okropnego końca. A ja nigdzie nie brnę.

- A zauważyła pani, że Flaubert nadaje Emmie różne kolory oczu? Przy jednej okazji niebieskie, przy innej czarne, a czasami piwne. Krytycy zarzucali mu niechlujstwo. A może chodziło mu o jej zmienność, o kilka twarzy tej samej osoby? Poza tym Bovary miała prawo mieć różne oczy, bo prowadziła podwójne życie!

Anna jest wyraźnie zgorszona.

- Robię te zdjęcia w harmonii z sobą. O Boże! Nigdy nie myślałam tak głęboko o tym wszystkim.

Po chwili: - Jestem kronikarką siebie samej. Przecież człowiek starzeje się tak szybko, muszę coś pięknego zostawić wnukom.

- Coś musiało pani podszeptać: „Idź i sfotografuj się inaczej niż wszystkie dziewczyny” - mówię.

- U mnie to wszystko wzięło się ze zdenerwowania. Gdy pierwszy raz sfotografowałam się z gerberą, pan Lechicki powiedział: „To nie najlepsze pani zdjęcia”. „Jak to? - pomyślałam. -

Są najlepsze. Przecież już innych zdjęć w moim życiu nie będzie”. Ale to zdanie mnie dręczyło dwa lata. Myślałam, że stać mnie na więcej. Nie wytrzymałam i pojechałam to udowodnić.

- Musi w tym być jakaś siła - dodaje. - Bo zawsze sobie obiecuję, że to ostatni raz, a jednak jadę. To są oczywiście tylko wycieczki. Wycieczki, z których wracam niezmieniona i zadowolona.

- Owszem, Anna ma na zdjęciach różne twarze - przyznaje mąż. - Ale czy to jest szukanie innej osobowości? Jak każdy u fotografa jest stremowana, więc ze stresu robi różne miny. I to jest tajemnica tych twarzy.

Symbioza Matka Anny jest ekonomistką, a ojciec inżynierem budownictwa. Dzięki niemu została stomatologiem. Chciała studiować medycynę ogólną, jednak tata jej przypomniał, że jest kobietą, a to ma swoje konsekwencje. - Pchnęło mnie na stomatologię z racjonalnych pobudek, „Bo jeśli będziesz lekarzem - mówił tatuś - wyobraź sobie te nocne dyżury w szpitalu, to wyczerpujące poświęcenie. A przecież urodzisz dzieci. I jak będzie wyglądała ta rodzina z matką, której ciągle nie ma w domu?”.



„Lady Makbet”, rok 1999



„Motyle”, rok 2002

No i uznałam, że tata dobrze mną pokierował.

Zdjęcia to jest rzecz, która dopełnia moje szczęście. Od roku już robię zdjęcia z dziećmi i nawet cieszę się, że wreszcie nastąpiła symbioza. Kaprysu i rodziny.

MotyleNastępnego dnia spotykamy się w zakładzie fotograficznym. Anna przyjeżdża z dziećmi, mężem, ze szwagierką i z ośmioma pakunkami. Wyciąga z nich suknie, kapelusze, przebrania dla dzieci i dla mnie. Włosy ma fantazyjnie poskręcane w setki loczków. Do trzeciej rano przygotowywała siebie i dzieci. Na stroje poświęca dużo energii. Odwiedza sklepy, ogląda czasopisma, a najważniejsze jest to, że w Szczecinie odkryła krawcową teatralną, która ją rozumie. Teraz wiem, dlaczego się spóźniła i dlaczego sesję zaczynamy o piętnastej.

Najpierw dzieci fotografowane są w posrebrzanej donicy jako cudowne rośliny, ona trzyma nad nimi konewkę. Potem dzieci z Anną w różowych strojach, z różowymi skrzydłami jako motyle. W scenie trzeciej - Anna w złotej, ciągnącej się po ziemi sukni, dzieci w żółtych strojach i żółtych wiankach na głowach - jako „rodzina słońca”. W scenie czwartej motyle spotykają skrzata. Jestem nim ja, mam zieloną kamizelkę, spodnie bermudy, kapelusz z zielonymi czułkami. Upieram się, że nie ściągnę okularów, bo bez nich czuję się obnażony. Pstryk - i już wyglądamy jak pocztówka z powinszowaniem imienin.

- Panie Lechicki... - zaczyna Anna.

- Pani Aniu, czy po dziesięciu latach znajomości mogłaby pani mówić do mnie „panie Sylwestrze”?

- Nie wiem - odpowiada.

Potem Anna fotografuje się bez dzieci. Przywiozła błękitną połyskującą suknię i wielki

jasnoniebieski kapelusz z farbowanych ptasich piórek. Mówię, że jest podobna do młodej Violetty Villas. - Jestem zaszczycona tą Violetką - mówi i zwraca się do mistrza: - No dobrze, niech pan zamraza ulotną chwilę, panie Sylwestrze.

- Nie zgadzam się - odpowiada fotograf. - Ja nie zamrażam, ja chwilę ocalam! Nie chcę, żeby pani się czuła jak w lodówce: zamrożona w jakimś skostniałym geście.

(Sylwester do mnie na boku: - Podczas naszych zdjęć pewna filuterność kwitnie).

Upór Anna przebrała się w obcisły sznurowany gorset w kolorze perłowym.

- A teraz proszę przymknąć oczy - mówi fotograf.

- Nie przymknę.

- Pani Aniu, proszę przymknąć oczy... - powtarza pan Sylwester, nie wierząc, że tak zwyczajna prośba może nie zostać przyjęta.



„Motyle spotykają skrzata”, rok 2001



„Elfy zólte”, rok 2000



„W babie lato”, rok 2004- Nie

przymknę!

- Coś zupełnie nowego wydobędziemy z pani, jeśli pani przymknie - tłumaczy mistrz.

- Nie! Koniec. Kropka.

- Pani Aniu... - prosimy wszyscy.

- Przymknij - prosi mąż.

- Przymknij - prosi szwagierka.

- Przymknij - powtarza synek.

- Nie!

- Ale dlaczego? - dociekam.

- Nie będę się z tego tłumaczyć! Nie przymknę i już.

Nie ujrzymy więc zdjęć Anny z przymkniętymi oczami. - Nie mogę pojąć! - szepcze mi do ucha Sylwester. - To jest irracjonalne!

Upór Anny ma sens. Czy jakaś przyzwoita kobieta w historii Z. fotografowała się z przymkniętymi oczami? Przymknięte oczy mogą być dowodem, że szukała wrażeń. Mogą świadczyć, że straciła kontrolę nad sytuacją. Kobieta powinna szczerze patrzeć w obiektyw. Poza tym dla wszystkich byłoby jasne, że fotografował ją mężczyzna. A więc przymykałaby oczy przed obcym mężczyzną! Anna chce żyć w zgodzie z Z.

Niekonieczność - Panie Lechicki - Anna, zirytowana naszymi prośbami, zwraca się do fotografa znów po nazwisku. - Panie Lechicki - powtarza - zrobimy wszystko według mojej koncepcji. Dobrze?



„Studium dekoltu”, rok 1998



Bez tytułu, rok



2004

Bez tytułu, rok 2003 "Dobrze"

brzmi surowo i ostro. Nie mogę postawić przy tym słowie wykrzyknika, bo Anna nie krzyczy. Nie ma znaku, który wyraziłby brzmienie jej głosu. Słowo wypowiada cicho, ale tonem nieznoszącym sprzeciwu. Od takiego tonu wszystkim mężczyznom świata cierpnie skóra, jakbyśmy słyszeli kulkę styropianu przesuwaną po szkle.

- Pani Aniu, uśmiech łagodniejszy! - instruuje fotograf. - Niech pani będzie cudowną, co nie przychodzi pani z trudem.

Do mnie: - Cała uroda tych zdjęć bierze się z niekonieczności. To niekonieczność powoduje, że one są ładne.

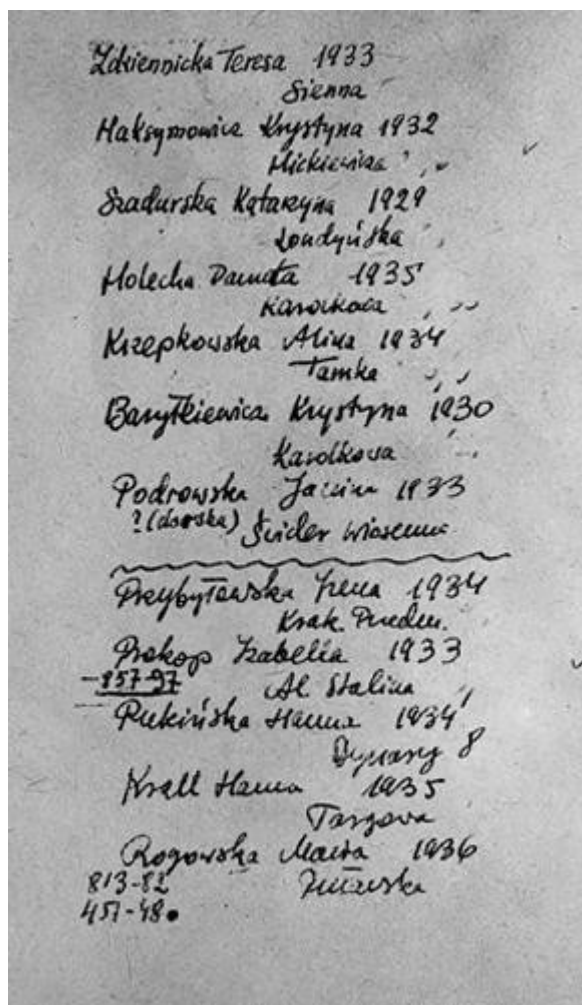
Dzieci dokazują. - Największa przyjemność z dzieci, to je spłodzić - żartuje pan Sylwester.

- Ach, jak ja pana za to nie lubię! - karci go Anna.

- Cudownie się pani oburza, cudownie.

Po chwili do siebie: - Jak dobrze, że się oburza. Wszystko jest lepsze niż obojętność.

Kartka



1. Długopis spadł mi ze stolika w kawiarni

Nowy Świat. Schyliłem się i zobaczyłem, że na podłodze leżą dwie rzeczy: oprócz długopisu w szczelinie między nogą stołu a ścianą leży kartka. Pożółkła i zapisana. Nie była to kartka z zeszytu, raczej z notesu. Po obu stronach ktoś wypisał osoby, ich roczniki (lata trzydzieste) i adresy. Już miałem zwrócić spis kelnerowi (taka kartka pewnie jest dla kogoś ważna), gdyby nie to, że wszystkie zapisane osoby są kobietami, a jedną z nich znam.

Kobiet jest dwadzieścia jeden.

Kartka jest stara, ale nie pognieciona, wygląda, jakby nikt jej nie używał, nie składał, nie rozkładał. Nazwiska wypisane są równo, piórem, i zrobiła to ręka wprawna w pisaniu.

Kobiety łączy tylko to, że urodziły się mniej więcej w tym samym czasie.

Dwie z nich wyróżniono. Przy Krystynie P. z Puławskiej ktoś postawił trzy wykrzykniki, przy Ewie S. z Zalesia Dolnego wykrzyknik, plus i wykrzyknik.



Hanna Krall w obiektywie Erazma

Ciolka Wśród 21 adresów jest adres, którego nie ma - aleja Stalina 16/33, kartka musi więc pochodzić z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych.

Zadzwoń do tej, którą znam. To Hanna Krall.

- Jest pani na liście kobiet, która nie jest listą alfabetyczną. Kobiety te nie są też ponumerowane - powiedziałem i odczytałem nazwiska.

- Dziwne. Żadnej z nich nie znam - odparła reporterka. - A pan się czegoś domyśla?

- Domyślałam się, ale nie chcę pani dotknąć.

- Śmiało.

- Może listę sporządził mężczyzna? Ewidencjonował wszystkie kobiety, które miał? Dlatego one nie powinny się wzajemnie znać, na tym mu właśnie zależało.

- Brzmi logicznie, ale odpada.

- Dlaczego?

- Bo mnie nikt nie miał, poza jednym panem, który właśnie bawi na nartach w Val Thorens i nie mógł zgubić żadnej kartki. Ta kartka jest czymś innym. Na przykład listą krawca.

- A po co krawcowi daty urodzenia?

- No tak, po co?

2. Nazwiska kobiet są raczej ich nazwiskami panińskimi, mogły mieć wtedy po 18-20 lat. O Katarzynie S. z Londyńskiej 28 nikt pod tym adresem nie słyszał. Może tylko wynajmowała pokój przez krótki czas? Na klatkach schodowych wybieram z list lokatorów tych, którzy mogą pamiętać sąsiadki z początku lat pięćdziesiątych. Dzwonię do Franciszków, Józefów, Waclawów. Na Siennej 59 - nic. Na Mickiewicza 26/6 - nic. Na Dynasach 8 - nic.

I jeszcze pięć razy nic.

Dzwonię do Hanny Krall: - Ma pani jakiś nowy pomysł?

- To może być lista od lekarza.

- Ale dlaczego lekarz przynosiłby do Nowego Świata listę pacjentek, i to po pięćdziesięciu latach?

3. W „Gazecie Stołecznej” zamieszczam ogłoszenie. Nie mogę jednak napisać, że szukam kobiet z kartki znalezionej na podłodze. W dodatku mam (ciągle) przeczucie, że napisał to mężczyzna, który nie chciał się pogubić w romansach.

„Piszę reportaż o warszawiankach z początku lat pięćdziesiątych...”. Podaję nazwiska, jakie wtedy mogły nosić, i ulice, na których mieszkały.

Pierwszy telefon następnego dnia: - Nazywam się Katarzyna Meloch i jestem wymieniona w pana ogłoszeniu.

Spoglądam na kartkę. - Przepraszam, ale pani w ogóle nie jest wymieniona.

(Zawód nauczył mnie, że takie przypadki się zdarzają. Ludzie, zwłaszcza samotni, uwielbiają podszywać się pod cudze historie, aby zwrócić na siebie uwagę).

- Ależ pan mnie szuka. Tylko jako Ireny Dąbrowskiej.

- Tak, rzeczywiście szukam Ireny Dąbrowskiej.



Irena Przybyłowska



Katarzyna Meloch vel Irena

Dąbrowska - To ja. Zmieniłam nie tylko nazwisko, zmieniłam nawet imię. Interesuje to pana? Może wiem, co to za kartka, spotkajmy się jutro w kawiarni.

4. Jutro. Katarzyna Meloch w Nowym Świecie.

Jest dziennikarką, autorką książki „Zaproszenie do kochania” - portrety pisarzy pokolenia „Współczesności”. Ma ze sobą jakąś fotografię.

- Dlaczego pani zmieniła imię i nazwisko?

- To było w sześćdziesiątym ósmym. W okolicach marca. Zaczęło się polowanie na Żydów i wielu osobom wyciągano ich semickie nazwiska, które już mieli zmienione na polskie. Ireną Dąbrowską byłam 28 lat i pomyślałam: to jest ten moment, muszę się odsłonić. Powiedzieć innym, ale też sobie: jestem Żydówką, nazywam się Katarzyna Meloch. Wiedziałam, że poczuję się wtedy lepiej.

- I poczuła się pani?

- Doszło do tego, że teraz należę do stowarzyszenia Dzieci Holocaustu, inspiruję innych ludzi i wie pan, ciągle ktoś wyłania się z kryjówek.

- Są tacy, którzy nie chcą?

- Tak, i oni umrą na serce.

- Dlaczego na serce?

- Jeśli facet ma sześćdziesiąt siedem lat, a żona i dzieci nie mają pojęcia o tym, kim jest naprawdę, to co mu pozostało? Ludzie, którzy ukrywają coś tak silnie, umierają na serce. Katarzyna Irena zapomina o herbacie, nie wypila nawet łyka. Pokazuje zdjęcie. Młody

przystojny mężczyzna w drucianych okularach podpira ręką głowę, obok dziewczyna niebywale urody. Zdjęcie, powiększone kilka razy, reklamowało wystawę „Fotografia Żydów Polskich” w Zachęcie.

- To moja mama ze swoim bratem. Wanda i Jacek Goldmanowie. Był czas, że chodziłam po mieście i spoglądali na mnie zewsząd. Ze słupów ogłoszeniowych, z wystaw księgarskich. O, proszę: patrzą na mnie, jeszcze nie wiedząc, że istnieję. Chyba nie mają dwudziestu lat. Gdy w 1939 zbombardowali nasz dom niedaleko Prudentialu, wynieśliśmy się do Białegostoku. Mój tata, Maks Meloch, pracownik Archiwum Państwowego, zniknął. Znajomi rodziców uciekli przed Niemcami do Związku Radzieckiego. Mama była nauczycielką greki i łaciny, ale w Białymstoku uczyła historii. Opowiadała mi „Księgę dżungli” Kiplinga, siedziałyśmy w domu, czekałyśmy.

Wiedziała, że po nią przyjdą. Kiedy Niemiec wziął jej radziecki paszport do ręki, powiedział głośno: „Komunistka i oczywiście Żydówka!”. „Jestem tylko matką” - odpowiedziała. Pozwolili jej się ubrać. Wyszła i zniknęła na zawsze z mojego życia. Miałam wtedy dziewięć lat.

Kelner chodzi wokół nas niespokojnie. Pyta, czy przynieść trzecią herbatę, bo druga też wystygła. Ale Katarzyna i Rena na temat herbaty nie ma zdania.

- Zaczęłam być Ireną Dąbrowską. Używałam metryki zmarłej dziewczynki. Przechowały mnie siostry Służebniczki Najświętszej Marii Panny, zwane starowiejskimi, w Turkowicach pod Lublinem. Wychowywały około dwustu dzieci, wśród nich w czasie okupacji było z trzydzieścioro żydowskich.

- Więc co to za kartka? - pytam i pokazuję moją listę.

- To uratowane żydowskie dziewczynki pod okupacyjnymi nazwiskami. Jednak niech pan uważa.

- Dlaczego?

- To kra lodowa.

5. Wychodzę z Nowego Świata, dzwonię do Krall.

- To może być kolejna lista Żydówek - prawdziwych i mianowanych. Takie listy krążą, więc, panie Mariuszu, ostrożnie...

- Zawsze rozmawiam ostrożnie.

- Wiem, ale one mogą zareagować strachem. Wie pan co? Najlepiej niech pan zostawi tę listę i te kobiety w spokoju.

6. Alina Krzepakowska (dziś pod nazwiskiem męża) jako jedyna mieszka dokładnie w miejscu zapisanym na kartce. W przedwojennej kamienicy na Tamce. Kobieta z majestatycznym wyglądem: wysoka, wyprostowana, siwy kok, elegancka. W mieszkaniu - książki i obrazy namalowane przez męża. Widoki, które uwiodły go w krajach arabskich, zaraz przenosił na płótno. Ona pracowała w handlu zagranicznym, on jest doktorem nauk technicznych. Na stoliku do kawy leży „Nasz Dziennik”.



Alina Krzepkowska Rozmawiamy o

historii.

- Tak dużo mówi się o 11 września, że za chwilę dojdzie do paradoksu - tłumaczy gospodyni.

- Pod tablicami pamięci spotykam młodzież, która nie ma pojęcia, co to było Powstanie Warszawskie. Za chwilę anulujemy własną historię.

(Mój zawód nauczył mnie, by czasem nie pytać wprost. Kobiety, która przed operacją napisała list pożegnalny do rodziny, nie spytałbym: „Co pani napisała w tym liście?”.

Rozmówca musi mieć szansę na uniknięcie odpowiedzi. „Ciekawe, co człowiek może napisać w pożegnalnym liście?”. Takie pytanie daje rozmówcy możliwości. Jeśli nie chce, nie musi wtedy mówić o sobie).

- Czy to może być lista żydowskich dziewczynek uratowanych w czasie wojny? - pytam.

Błyskawicznie się uśmiecha: - Nie.

- Dlaczego?

- Bo ja nie mam żydowskiego pochodzenia.

Rozmawiamy o literaturze. Gospodyni mówi, że uwielbia literaturę faktu. Nigdy nie tolerowała zmyślenia.

Przygląda się liście. - Zaraz... znam tę panią z trzema wykrzyknikami. Studiowała ze mną na kierunku matematycznoprzyrodniczym. Krysia była piękna. Blondynka o zielonych oczach, niebywała uroda. Choć czuło się, że w przyszłości przytyje.

- Dlaczego?

- Bo nie była typem usportowionym. Może wykrzykniki są za urodę? Z kartki wynika, że mieszkała tuż obok mnie.

- Ale kto mógł to napisać i po co?

- Może myśmy czymś podpadły? Ja nie kryłam się z poglądami. Może to jakaś lista Służby Bezpieczeństwa? W handlu zagranicznym, to wiem, żyłam wśród agentów. Jestem, zdaje się w Budapeszcie, na rozmowach handlowych, i siedzi Polak, którego widzę pierwszy raz w życiu. Wszyscy się witamy, a on nagle przedstawia się kontrahentom: Zbigniew Kowalski z działu finansowego. A ja wiem przecież, że Zbigniew Kowalski to mój kolega, został w firmie i nawet do Budapesztu się nie wybierał.

Rozmawiamy o domu na Tamce. - Mieszkamy tu od wyzwolenia. To bardzo znana kamienica. Jest nawet bohaterką książki „Przeciw konfidentom i czołgom”.

Z kamienicy idę prosto do dziewczyny z trzema wykrzyknikami.

7. Dzwoni Halina P. z Solca, przeczytała ogłoszenie o warszawiankach. Opowiadam, że tak naprawdę chodzi o kartkę.

- Myślę, że wiem, co to za lista - mówi z przekonaniem. - To nie jest na telefon, ale mogę panu powiedzieć jedno: myśmy wszystkie wtedy były straszne. Oczywiście pozostałe na pewno będą się starały uniknąć prawdy. Może nawet doradzą, żeby pan się tym nie zajmował.

8. Telefon od Hanny Krall: - Panu podrzucono ten świstek. Z jakichś powodów ktoś chciał, żeby to opisać. Czy odchodził pan od stolika w Nowym Świecie?

- Odchodziłem.

- Na tyle, ile trwa wizyta w toalecie?

- Na dłużej, bo zobaczyłem kolegę w drugim końcu sali.

- No to ktoś ją panu podrzucił. Tylko po co? Przepraszam, muszę kończyć, bo dzwoni Tadek Sobolewski.

Hanna Krall po godzinie: - Opowiedziałam Tadeuszowi o kartce, on zna wszystkie fabuły filmowe świata i powiedział: „Podrzucili mu”.

- Pani Haniu, czy pani mogła być w tamtych latach dla kogoś straszna?

- Ja?! Ja byłam bardzo subtelna.

9. Straszna mieszka przy Solcu na pierwszym piętrze. Na klatce zapach moczu, ale mieszkanie - pudełeczko. Jest na emeryturze, pokazuje dzieło swojego życia: czterysta map z czasów, gdy była dyrektorem w wydawnictwie kartograficznym. Wszystko przygotowane: jarzębiak, winiak klubowy i wiśniówka.

- Dla mnie to trochę za wcześnie... - mówię, gdy stawia kryształowe kieliszki na stole.

- Niech pan nigdy nie mówi, że na coś jest za wcześnie. Bo szybko się pan orientuje, że na wszystko jest już za późno.

- Dlaczego byłyście straszne?

- Proszę pokazać tę listę... No tak, już nie pamiętam, czyje to pismo. Jeśli to ten, o którym myślę, to stał wysoko na stalinowskim świeczniku. On mógł mieć tyle kobiet. Nie, on mógł mieć więcej, a ta lista to wycinek.

- Dlaczego byłyście straszne?

- Ciiiiiiiiii - Straszna syczy nagle i sztywnieje na krześle.

- Mysz? - pytam szeptem.

- Nie! Ciiiiii!... Osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście. No dobrze. Jedenaście to do mieszkania pod trójką.

Uspokaja się, opada na krzesło.

- My robiłyśmy straszne rzeczy... Cicho! Nie otworzyła! O, schodzi! My robiłyśmy rewolucję obyczajową. Nie chodziło nam tylko o doznania erotyczne. To był bunt. Nasz komunizm był buntem. Przecież z buntu na studiach należałam do ZMP. Myśmy uważali, że nasi rodzice doprowadzili do tej okropnej wojny. Uważaliśmy, że trzeba żyć inaczej. Jak mówi jedna moja koleżanka, Kościół nie miał żadnego rządu dusz i nie było AIDS. Myśmy nie myślały o przyjemności, myślałyśmy, że to jest nowa forma życia. I to lepsza. A konsekwencje tego były fatalne.

- Jakie?
- Ciiiiiiii... Dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście, szesnaście... a nie, idzie pod szóstkę!
- Jakie konsekwencje?
- Skrobanki. Myśmy usuwały ciążę, jakbyśmy wrywały zęby. Ta spod trójki to jest okropna baba. Taka wścibska. „Pani Halino, ja to ciągle w głowę zachodzę, dlaczego pani za męża nie wyszła”. „Bo lepiej żyć samą niż z jakimś idiotą” - mówię jej wtedy, a ona już wie, że piję do jej męża.
- Pani też usuwała?
- Trzy razy. Bezprzymtomnie kochałam jednego durnia. On miał żonę i dwoje dzieci, nie chciałam mu robić kłopotu. Byliśmy ze sobą siedemnaście lat. Czternaście razy pojechaliśmy na wczasy, z tego osiem do Bułgarii. Mówił, że ta żona jest koszmarna, że liczy tylko na jego pieniądze. I wie pan, jak głupio się skończyło? Raz, tak dla żartu, powiedziałam w Wigilię: „Tobie życzę wszystkiego najlepszego, a jej wszystkiego najgorszego”. Nie odezwał się rok! On ją rzeczywiście kochał, a mówił, że jest z nią tylko ze względu na dzieci. To, co było między nami przez siedemnaście lat, nie miało żadnego znaczenia! Boże, potrafiłam spaść w spazmach na podłogę i leżeć tak cały dzień.
- Milknie.
- Nasłuchuje, ale nie ma czego liczyć.
- A dlaczego pan taki sztywny i nie wypił tej wiśniówki? Przed czterdziestką raptownie chciałam zajść w ciążę. Z kimkolwiek. Nic z tego. Aborcja ma straszne skutki i dziś jestem jej przeciwniczką. Niech pan pokaże jeszcze tę kartkę. Może być też od ginekologa i dlatego nie znam tych kobiet... Dotknął pan czegoś bardzo intymnego. Niech pan nie szuka tych pań.
- Ciiiiiiiiiii!
- A dlaczego pani liczy kroki?
- Bo czternaście to byłoby do mnie.



Kawiarnia

*Nowy Świat w Warszawie, rok 2002***10**. Nadchodzi list od Katarzyny Irenej: „Proszę nie myśleć, że to była lista kochanek. W latach pięćdziesiątych dalekie byłyśmy od tych spraw. Dojrzewaliśmy późno i żyłyśmy w stanie dziecięctwa - to pewne. I jeszcze jedno: w tajemniczy sposób zniknęła kopia listy, którą Pan mi dał. Chciałabym mieć pełną, aby się jeszcze nad nią zastanowić”.

11. Doznaję olśnienia.

Jeszcze jedna z zapisanych kobiet jest bardzo znana. Ostatnią na liście odczytałem jako Stenkiewicz Krystynę, a powinienem - Sienkiewicz.

Telefonuję, aktorka jest właśnie w Katowicach. - O Boże! - krzyczy do słuchawki. - Czy one wszystkie nie żyją?! A ja tylko dlatego żyję, że pojechałam na Śląsk? Jestem ostatnia na liście? Oprócz Demona, które je pozabijał, nade mną czuwał Anioł?

I dlaczego pan zadzwonił wieczorem? Teraz nie będę spała. Nie byłam wplątana w żadne afery, ale zadreczę się do rana.

Raz przesłuchiwał mnie Urząd Bezpieczeństwa. Kiedy porwano syna Bolesława Piaseckiego, z dziewczynami byłyśmy na balu maskowym. To już było po zabójstwie chłopca, tajna policja uznała, że nitki prowadzą na bal. Przyszło tam dwóch rycerzy zakutych w zbroje. I przez cały wieczór nie odsłonili przyłbicy. Podejrzewano, że byli to dwaj mordercy. Albo ubecy, którzy obserwowali bal.

- Albo i ubecy, i mordercy w jednym - mówię.

- Otóż to. I przesłuchiowano mnie na okoliczność, czy wiem, jak rycerze naprawdę wyglądali. Może tamte kobiety też tańczyły na tym balu?

- Nie tańczyły. Syna Piaseckiego zabito w 1958, a kartka pochodzi z czasów alei Stalina, czyli sprzed 1955 roku.

- Jaki jest numer alei Stalina na liście?

- 16 przez 33.

- Ja mieszkałam w tym mieszkaniu!

- Nie, tam mieszkała Izabella Prokopp, czwarta od końca na liście.

- Ale ja też! W latach sześćdziesiątych. U mamy Izabelli, znanej śpiewaczki operowej dwudziestolecia międzywojennego. Wynajmowałam pokój, z którego mnie wyparł Budyń Duży. Musiałam się wyprowadzić, bo on tam zamieszkał.

- Kto?

- Budyń Duży, ale musi pan wiedzieć, że był też Budyń Mały. Budynie miały budyniową urodę i włosy utlenione na budyniowy kolor. Budynie przyjechały do Warszawy otrzeć się o wielkie miasto. Duży, czyli Hania, był sympatią jednego estradowca. Oba tańczą na stole w filmie „Gangsterzy i filantropi”. Jestem litościwa i wpuściłam Budyń do siebie, aż mnie Budyń wyparł. To były czasy!

- Piękne dziewczyny, o których marzyli wszyscy, a wielu się doczekało?

- Ale ja z żonatymi nie miałam nic wspólnego, więc ta kartka nie może być listą kochanek.

Mówi pan, że jest na niej Irena Przybyłowska z Dziekanki? To moja serdeczna koleżanka, była bardzo porządna. Wyjechała do Szydłowca za mężem weterynarzem, nazywa się Hanusz. Skończyła polonistykę, pracowała jako nauczycielka w liceum. Nie, to nie może być rejestr romansów. A usuwanie ciąży wręcz wykluczone!



Krystyna Sienkiewicz w obiektywie

Zofii Nasierowskiej 12. Szukam śladu po Izabelli Prokopp w mieszkaniu jej mamy, a przy okazji Krystyny Sienkiewicz i Budynia. Łańcuszek osób, które mi pomagają, to cztery sąsiadki z trzech okolicznych kamienic i jeden sąsiad.

Dziś Izabella mieszka w Józefowie, ukończyła muzykologię. Autor kartki pozbawił ją jednego „p”. Do 13 grudnia 1981 pracowała w „Kulturze”, potem - w Polskim Radiu. Pisała omówienia płyt. Z Tadeuszem Bairdem napisała o nim książkę. Uczuciowo zajęta od piętnastego roku życia.

- Może to wspólna lista obecności z jakiegoś międzywydziałowego wykładu, skoro wszystkie studiowały? - przypuszcza.

- Chyba niemożliwe - mówię. - Rozpiętość wieku między studentkami to sześć lat. Wspólny wykład mogą mieć ludzie z tego samego roku albo z lat sąsiadujących.

- To z niczym już mi się ta kartka nie kojarzy.

13. Kropka. Martwy punkt.

Dwie kobiety z listy, których rodzinę odnalazłem, nie żyją.

Kto i po co przyszedł do kawiarni z kartką sprzed lat?

Krall: - Przestępca wraca na miejsce zbrodni. Niech pan pójdzie do Nowego Świata, usiądzie przy tym samym stoliku. Może coś się zdarzy.

Idę i zdarza się. Pytam recepcjonistkę, czy nikt aby nie poszukuje zgubionego dokumentu.

- Poszukuje! Jeden starszy pan, który do nas przychodzi, już kilka dni temu pytał, czy ktoś nie znalazł jego pamiątkowej kartki. Jeśli pan ją ma, proszę zostawić.

- Nie zostawię...

14. Na spotkanie przychodzi człowiek po siedemdziesiątce. Marynarka w jodelkę, nie za

wysoki, blondyn z brodą. Nawet nie jest jeszcze siwy.

- Kartka powstała między 10 a 20 kwietnia 1954 - wyjaśnia chętnie. - Byłem młodym lekarzem i szczepiłem na dur brzuszny 2790 studentów. Przy okazji na boku zapisywałem najpiękniejsze studentki.

- Ale po co? Spotykał się pan potem z nimi?

- Broń Boże, żadnej nawet bliżej nie poznałem.

- To do czego panu była ta lista?

- Bo ja byłem bardzo nieśmiały wobec kobiet. Przy wzroście 170 cm miałem 90 kg wagi. Pomyślałem sobie, że jak za pół roku się nie ożenię, to uderzę do którejś z dziewcząt z mojej listy. Przyjdę i powiem, że szczepienie na dur się nie udało i trzeba powtórzyć. Przecież tak też może zacząć się miłość.

- I co? Któraś została pana żoną?



Izabella Prokopp



Właściciel kartki

(pierwszy od lewej) ze znajomymi w latach 50. - Nie, ożeniłem się poza listą. Blondynka z końskim ogonem stała pod kasą ZOZu, gdy brałem pensję.

- Dlaczego z kartką przyszedł pan tutaj?

- Przypadek. Przeczytałem artykuł o aktorce Jean Seberg i jej mężu, pisarzu Romain Garym, który przez nią strzelił sobie w łeb. Mieszkał w Warszawie kilka lat.

- Co to ma wspólnego z kartką?

- Jestem dalekim kuzynem Romain Gary'ego. Wie pan, jak się zaczyna jego „Obietnica poranka”: „W czterdziestym czwartym roku życia wciąż nie przestaję marzyć o najpierwotniejszej czułości...”. Kiedy czytałem artykuł o ich małżeństwie, przypomniało mi się, że gdzieś mam jeszcze list od Seberg z lat sześćdziesiątych i w papierach natknąłem się na mój spis najpiękniejszych. Wziąłem go ze sobą, nie wiem właściwie dlaczego. Po prostu trzymanie tej kartki w kalendarzu od kilku dni sprawiało mi przyjemność. I tyle. Potem się zdenerwowałem, że jestem fajtłapa i gdzieś ją zgubiłem.

- A dlaczego ta pani ma trzy wykrzykniki?

- Bo była najpiękniejsza. Nie zapomnę jej nigdy... Blondynka z zielonymi oczami. Zgrabna, choć teraz mogła przytyć.

- Odnalazłem ją!

- I co?!

- Nie otwiera nikomu, nigdzie nie wychodzi, straciła pamięć.

- Błagam, niech pan mi nic nie opowiada o tych kobietach.

Dowód



Małgorzata Tadeusiewicz na tym i następnym zdjęciach w obiektywie męża, lata 70. Rektor Akademii GórniczoHutniczej w Krakowie profesor Ryszard Tadeusiewicz, specjalista od cybernetyki, nagle i niespodziewanie dla wszystkich dał dowód miłości.

Stało się to w gmachu uczelni, na parterze, dokładnie w łączniku między budynkami A0-A2. Oczywiście rektor jest rozsądny i starał się, żeby cała operacja była przeprowadzona w nocy, ewentualnie nad ranem, by nikt niepowołany nie widział zmagania z niełatwą przecież materią. Kiedy już wysiłki nad daniem dowodu dobiegły końca, a profesor usiadł obok odprężony, poczuł, że zaistniało coś pięknego.

Rano - kiedy dla wszystkich stało się już jasne, że profesor Tadeusiewicz dał wyraźny (a nawet - jak powiedziała docent G. - popisowy) dowód, podzielono się na dwie grupy. Jedni uważali, że takie dowody zawsze były intymną sprawą i należy je demonstrować w domu. Drudzy - że w świecie, gdzie panuje deficyt miłości, dowody należy dawać bez względu na otoczenie. Co więcej - należy właśnie objawiać je publicznie.

Pomysł na dowód wziął się z pustki korytarza. Gdy profesor przechodzi przez A0-A2, zawsze robi mu się przyjemnie, bo tu, na ławeczce, 37 lat temu zobaczył swoją przyszłą żonę Małgorzatę z książką w ręku i z parasolką. Przyjechali na ten sam kurs przygotowawczy. Obydwoje skończyli studia: ona kierunek nazywany cementwapnogips, on elektrotechnikę. Mówi, że jak wszedł na tę uczelnię po maturze, tak nie wyszedł z niej do dziś. I dzień po dniu spoglądał na pustkę A0-A2.

„Dlaczego gdy patrzę na to miejsce, ma tam ciągle stać wiadro sprzątaczkowe albo kubek po cocacoli?” - pomyślał.

Przecież tam wciąż mogłaby siedzieć jego żona!

Minął rok od pomysłu, gdy wreszcie żonę sprowadzono ciężarówką. Nie było to łatwe, bo

ważyła 300 kilogramów, trzeba ją było wnosić do budynku w kawałkach. - Ach, Małgosiu - mówi teraz rektor do żony - przyjechałaś na uczelnię jako dzieło szaleńca, jakiegoś Kuby Rozpruwacza, byłaś, moja kochana, cała poćwiartowana.

- Trzeba cię było zrobić z brązu - dodaje rektor i zwraca się do mnie: - Małgosia z kamienia zaraz by była bez nosa, bez ręki, bo kamień jest nietrwały. Jeśli moja żona ma funkcjonować w środowisku studentów, to jej odlew musi przeżyć.

Pani profesorowa siedzi na ławeczce zaczytana, obok - oparta o ławkę - parasolka.

Przytwierdzona na stałe, żeby nikt nie ukradł. Choć, aby dzieło było w zgodzie z rzeczywistością, którą odwzorowuje, to parasolka powinna być ruchoma. Przecież 37 lat temu Tadeusz chwycił parasolkę i nie chciał oddać, dopóki Małgorzata nie przejedzie się z nim na motocyklu.





Racje za dowodem profesor

wyłuszczył w zaproszeniu na uroczystość odsłonięcia „Małgosi”. „Ma przypominać wszystkim przechodzącym pracownikom lub uczącym się na ławeczkach studentom AGH, że nasza uczelnia jest tak piękna, iż warto na niej nie tylko studiować - ale także zakochać się”. Profesor dodał, że jego żona w brązie ma też zadania dodatkowe: „Chciałbym, aby studenci potraktowali ją jako jeszcze jedną koleżankę, przy której można posiedzieć w przerwach między wykładami, zjeść kanapkę albo umówić się na spotkanie”. Dlatego „Małgosia” siedzi na środku ławki, po jej bokach są miejsca dla dwóch osób.

A gdy dziewczyna na spotkanie nie przyjdzie? „To - wyjaśnia w zaproszeniu rektor - »Małgosia« ma tę cenną zaletę, że nigdy się nie spóźnia, można więc być pewnym, że przynajmniej ona zawsze będzie na was wiernie czekała w tym samym miejscu”.

A gdyby tak ktoś inny wpadł na pomysł uwiecznienia swojej żony w postaci rzeźby? (- Rzeźbki - poprawia profesor. - W domu mówimy „rzeźbka”, „rzeźba” ani „pomnik” jakoś tak przez gardło nie przechodzą. - A mnie ona peszy - dodaje żona - staram się jeszcze jej nie nazywać).

A więc gdyby to ktoś inny przyszedł po zgodę na prywatną rzeźbkę?

- Oczywiście, że zgodziłbym się. Bo uczelnia dba o sale, o pomoce naukowe, a nie dba dostatecznie o korytarze. A korytarze po wyjściu z wykładu o geomechanice górniczej mogłyby pobudzać studentów do rozważań humanistycznych.

Pora powrócić do czasów (do lat sześćdziesiątych konkretnie), gdy w gabinecie na przykład szanującego się fizyka nuklearnego wisiał portret Hemingwaya (najlepiej ten w golfie) i symbolizował związek z literaturą światową.

Twórca dowodu - rzeźbiarz z Krakowa - tym właśnie najbardziej był poruszony. Autor

„Małgosi”, Karol Badyna, mówi, że rektor Tadeusiewicz jest odważny. - Bo chce wsączyć troszeczkę tej humanistyki do AGH - tłumaczy. Kiedyś pan Badyna zaprojektował na zamówienie uczelni medal przedstawiający Ojca Świętego uchylającego Drzwi Święte (na AGH doktorem honoris causa jest bowiem Jan Paweł II), potem pomnik świętej Barbary, która króluje na dachu AGH, teraz - żonę rektora. Jednak nie była to dla rzeźbiarza jakaś zaskakująca propozycja, bo dostaje sporo zamówień na portrety rodzinne. Rzeźbi całe rodziny w skali 1:1. Ustawiane są one potem w ogrodach albo na tarasach. Najczęściej w Niemczech. - W Polsce wciąż częściej zamawia się portret rzeźbiarski w formie nagrobka - tłumaczy rzeźbiarz - ale i to się zmienia. Rektor przeciera szlak. Kłopoty z dowodem zaczęły się już przy projekcie. - Miałem zdjęcie pani rektorowej z lat sześćdziesiątych, jak stała na biwaku, ale nie było układu siedzącego - opowiada twórca. Dlatego do znalezienia właściwego układu ciała posłużył się swoimi studentkami.





Co do wyglądu - pani

Tadeusiewiczowa jest portretem z pamięci. Profesor opisywał rzeźbiarzowi, jak tego pamiętnego dnia jego miłość była ubrana. - Przecież pamiętałem - nadmienia - że Małgosia miała tego dnia sukienkę, na której było bardzo wyraźne stebnowanie.

Najpierw oszukiwał żonę, że to ma być pomnik jakiejś anonimowej, statystycznej studentki. - Ale przyzna pan - mówi teraz rektor - że i anonimowa studentka musi mieć twarz.

- Rzeczywiście, gdyby zaproponował twarz innej studentki - mówi żona - to nie wiem, czy byłabym tym zachwycona.

W ogóle dobrze się stało, że pani profesorowa w porę siebie zobaczyła (wtedy była jeszcze projektem z gliny), bo w przeciwnym razie nadgarstki byłyby sfalszowane. - Zwróciłam uwagę, że mam szczuplejsze nadgarstki, i pan Badyna je w porę okroił.

Pierwsze reakcje na dowód przeważnie są jednakowe. - Za czyje pieniądze żona rektora powstała? - pyta najpierw każdy (ironicznie lub nawet z oburzeniem). Kiedy wyjaśnia się, że za prywatne pieniądze profesora, pytający uspokajają się i już dowód miłości im się podoba.

Zauważono, że studenci często obejmują „Małgosię” za szyję.

Studentki dążą do spotkań z kolegami w okolicy pomnika.

Pani Feliksa, która ma 73 lata (- Powiem szczerze: jako żona sobie na taki pomnik nie zasłużyłam) i wraz z córką prowadzi na uczelni sklepik z drożdżówkami, mówi, że większość studentów, gdy przechodzi obok pomnika, uśmiecha się.

Janusz, 23 lata, student zaoczny inżynierii środowiska, wentylacji i klimatyzacji, wyznaje, że nie myśli jeszcze o żonie, ale lubi stawać obok skamieniałej Małgorzaty Tadeusiewicz.

- Można postawić kochanej osobie kolację albo pomnik! - zachwyca się na głos.

Nadchodzi Ewelina, lat 21, studentka górnictwa i geologii: - Koledzy mi powiedzieli, że jakaś ładna laska na tej ławce siedzi.

Pani Helena, lat 59, zastanawia się, czym panią rektorową będzie się czyścić. - Od trzydziestu lat pracuję na AGH jako sprzątaczką - oznajmia. - Wcześniej pracowałam w służbie zdrowia, ale nigdy nie widziałam, żeby tak pięknie ktoś komuś miłość wyznawał. Taki dowód trzeba mądrze polerować.

Niezadowolona jest Marta, lat 20, studentka geologii. - Rektor mógłby inaczej spożytkować te pieniądze. Mógłby je przeznaczyć chociażby dla studentów, którzy nie mogą się uczyć z braku środków finansowych, albo dla studentów ze wsi. Wielu nie stać na studia. Albo na jakiś szczytny cel naukowy zamiast na pomnik własnej żony - kończy.

Generalnie jednak dowód miłości został zaakceptowany. Podczas odsłonięcia Leszek Długosz zaśpiewał: „Kwiecistą zwiewną twą sukienkę”. (Oczywiście na koszt profesora).





Czasy sprzed dowodu dla

Małgorzaty są białą plamą: - Chyba nic nie pamiętam.

- A ja pamiętam wszystko - mówi profesor. - Miała złociste włosy. Potem poznałem tajemnicę, że płucze je w rumianku. I rzeczywiście, unosił się nad nią rumiankowy zapach. Często bywają takie sytuacje, że pamiętam z nich zapach, a nie na przykład muzykę.

- Panie profesorze - mówię - to mi przypomina prawo pierwszych połączeń w seksuologii. Jeśli pierwszy akt miłosny ma miejsce gdzieś, gdzie pachną suszone śliwki, to potem już na zawsze ten zapach jest skojarzony z przyjemnością, a czasem musi być nawet niezbędny do podniecenia.

- A wie pan, że w sztucznych sieciach neuronowych też funkcjonuje to prawo? - pyta profesor (sieci to jego konik).

- Nie wiem - mówię.

- Te sieci imitują funkcje ludzkiego mózgu - wyjaśnia profesor. - Mogą być potem zastosowane choćby w rozpoznawaniu obrazów. Pan może rozpoznać twarz znajomego i sieć neuronowa też może, na przykład twarz osoby przy bankomacie. Sieci, których symulacje robimy na komputerach, też poddają się prawu pierwszych połączeń. Pierwsze bodźce - mówię oczywiście do pana w uproszczeniu - z którymi zetknie się sieć, w niej się osadzają, wyznaczają jakby jej nawyki. Słowem, późniejsze reakcje sieci są bardzo silnie zdeterminowane początkową fazą uczenia...

-...choć w życiu to może nie być regułą, bo to, co ja zapamiętałam z pierwszych chwil, nie wpłynęło na mnie - przerywa żona. - Ty pamiętasz mnie rumiankową, a ja wcale nie widzę tamtego momentu romantycznie.

- Realistycznie?

- Raczej pamiętam swoją zazdrość. Tak, zazdrość była pierwszą moją reakcją na ciebie. Odpowiadałeś na tym kursie przygotowawczym jak prymus, wiedziałeś wszystko. I ja byłam zazdrosna o twój poziom intelektualny. Patrzę, co to za facecik... Też nie chciałam zawieść rodziców, obiecałam, że zdam na studia, ale on wypadł o wiele lepiej.

- No to potem już powinna być pani zazdrosna o całą karierę męża - nadmieniam - pierwsza reakcja powinna determinować pani uczucia.

- Nie byłam - odpowiada Małgorzata. - I to jest właśnie dziwne. Nie było później rywalizacji zawodowej między nami, nie czułam żalu, że ja na przykład doktoratu nie robię.

- Jakże to ważne! - ożywia się mąż. - Gdyby pan to uwzględnił w reportażu: otóż ja miałem zawsze w domu oparcie, bo nie było podświadomej rywalizacji między nami.

- A nie przeszkadzało ci, że nie masz żony z tytułem profesora? - pyta żona.

- Nigdy!

- Panie profesorze, jednak skoro na początku...

- Wiem! - przerywa profesor. - Wiem, dlaczego ta zazdrość się nie rozwinęła. Żona moja zawsze lepiej ode mnie zarabiała. Zaraz po studiach dostała stypendium fundowane i trzy lata pracowała w cegielni w Leżajsku, a potem już ciągle jako inżynier w przemyśle. W Bipropiecu...

- Przepraszam, w czym?





Państwo Tadeusiewiczowie przy

„Małgosi”, rok 2002- W Bipropiecu, w biurze projektów pieców tunelowych, Małgosia zarabiała o wiele więcej niż ja, biedny wykładowca. I to ją także mogło dowartościowywać. Widzi pan, oto przyczyna naszej równowagi! - cieszy się profesor.

Zapominamy o dowodzie, bo mąż, żona, córka, zięć, sąsiadka i ja czekamy, aż upiecze się mięso na aluminiowych tackach w kominku. Wdychamy zapach, a profesor rozmawia z zięciem (właśnie imponująco obronił magisterium z chemii na UJ) o modelu wymiany ciepła między ogniem a tacką.

Siedzimy w drewnianej chałupie, na wzgórzu, wśród zieleni, która zasłania płytę lotniska Balice. Przy dobrej pogodzie widać szczyty Tatr. Mają mieszkanie w bloku, ale Małgorzata, od kiedy jest na emeryturze, większość czasu spędza na działce. Wykupili od chłopów ziemię, która kiedyś była ogrodami księcia Radziwiłła. Posadzili wiśnie, porzeczki, górale wybudowali im domek.

Na mięso czekają też dwa koty i pies Akson ze sterczącym ogonem (- Akson to część komórki nerwowej, która wyprowadza impulsy nerwowe - tłumaczy profesor - w sumie taki ogon komórkowy).

Zastanawiamy się, czy mięso połączyć jeszcze oliwą z oliwek, czy już nie.

- Kiedyś włożyłam oliwę do lodówki... - wyznaje pani profesorowa.

- To przestępstwo wobec oliwy - mądrzę się.

- No właśnie. W lodówce robi się mętna i nieprzystępna.

- Małgosiu, nie mętna, ale zemulgowana - uściśla profesor.

- No może i nawet zemulgowana - zgadza się żona i tak sobie siedzimy, czekamy i uściślamy.

Tajemnica małżeństwa (pośrednio - dowodu) wyjaśnia się zniecka przy deserze. Zaczęła się rozmowa o „Hamlecie”. Wystawił go wczoraj Teatr STU.

Profesor: - Ofelia się topi, panie Mariuszu, w wodzie. Scenę w teatrze zastąpiono autentyczną

sadzawką...

Profesorowa: - Jasiński ma wspaniałe pomysły!

On: - To był „Hamlet” ewidentnie uwspółcześiony.

Ona: - Językowo? Na pewno!

On: - Językowo tak, bo przecież Barańczak przekładał.

Ona: - Wracałam do domu zachwycona...

- Przepraszam - wtrącam się zdeorientowany - pan, panie profesorze, był na tym przedstawieniu?

- Nie. Żona sama była.

- To skąd pan to wszystko wie?

- Bo my ze sobą od 37 lat stale rozmawiamy.

Dowód można nazwać nagrodą dla Małgorzaty Tadeusiewicz. Kiedy odsłaniano „Małgosię”, rektor powiedział w prasie, że nie jest idealnym mężem, rzadko bywa w domu, a żona niewiele ma z niego pożytku. „Postanowiłem choć częściowo to jej wynagrodzić” - rzekł profesor i spojrzał wymownie na małżonkę z brązu.

No właśnie!

Jego ciągle nie ma - podstawowy problem małżeński.

Ale nie u rektorostwa: - Mąż już się wykazał, na początku. Jak tylko wzięliśmy ślub po trzecim roku studiów. Był bardzo zaradny, gotował. W strasznym pokoju, jaki wynajmowaliśmy, gdzie było tak zimno, że woda w misce zamarzała, zbił zgrabne meble ze skrzynek sklepowych - opowiada Małgorzata.

- Przecież musiałem gotować. Bo wchodzę do tego pokoiku, patrzę, a ona siedzi bidula z kromką chleba nad książką. „Masz coś do tego chleba?” - pytam. „Dżem”. Więc sam pan widzi, że musiałem opanować kuchnię. Zresztą umiałem to dobrze, bo mama zmarła, gdy miałem szesnaście lat, i tacie, który pracował jako chemik niedaleko Leżajska, prowadziłem dom. A dziś to żona rewelacyjnie gotuje, a ja w ogóle.

- Więc od początku miałam przekonanie, że mąż jest z tych, którzy nie ignorują domu. Potem on robił karierę, ja niepostrzeżenie przejęłam funkcje domowe, nadzorowałam nawet górali przy budowie chałupy, i dziś, kiedy nie pracuję i widzę, jak wraca zmęczony, to dlaczego mam mu robić wyrzuty? Jego nieobecność jest dla mnie wyzwaniem.

Podejrzewam, że w tym gronie w efektowny sposób uściślimy zaraz pojęcie miłości.

Mówię więc po deserze, że w Krakowie studiował mój ulubiony malarz Jerzy Tchórzewski. Napisał, że słowo „miłość” świeci jak słońce, ale on porównuje ją do nikłego, majaczącego zaledwie, fosforyzowania próchna, mówiąc jednocześnie, że to wątłe lśnienie jest największym blaskiem życia.

- Zaś żona Jamesa Joyce’a mówiła na przykład, że miłość polega na tym, kto dłużej wytrzyma - prowokuję. Na próżno.

- Z miłością jest kłopot, bo nie da się jej porządnie zdefiniować - mówi profesor.

- Miłość wymyka się definicji, przez co jest najciekawsza na świecie - dodaje zięć chemik i spogląda na swoją żonę, która uczy się do egzaminu z farmakologii pod czereśnią.

Rozstanie jest ostre jak miecz



Izabella

Skrybant-Dziwiątkowska, rok 2003 Pierwszy występ bez męża...

Nie śpiewałam bez niego, on tam przecież był.

Mimo że nie żył już od trzech miesięcy?

Tak. Mieliśmy koncert w sanatorium dla naukowców pod Olsztynem. To było już z nowymi kolegami. Świetnych kolegów sobie dobrałam. I nagle ludzie mi krzyczą: „Pamelo, zegnaj!”. Mówię: „Przepraszam, nie jestem w stanie z kimkolwiek innym tego zaśpiewać. Zbyszek ten utwór dla mnie skomponował, śpiewałam go z nim przez 35 lat i tak bym się czuła w tej chwili, jakbym go zdradziła”.

Ulegli?

A skąd. Krzyczą, żebym z playbacku chociaż. Nagle wstają i śpiewają. W końcu Zbyszek

śpiewał z płyty, ja na żywo. Przy pierwszych taktach rozplakałam się, a taka pani doktor z uczelni warszawskiej przyszła, też zapłakana, i mówi: „Pani jest niemożliwa, co pani ze mnie zrobiła?”. Potem odbył się wielki telewizyjny koncert Tercetu Egzotycznego na rynku we Wrocławiu. Śpiewaliśmy razem, na telebimie jego głowa na cały ekran. Miałam straszną treść, myślę sobie: przecież tyle płyt nagrałam, lata na Zachodzie, dlaczego? Ale jak wychodziłam na scenę, usłyszałam: „No, co ci jest? Matka, co ci jest?”. Tak jak kilka dni temu, jakaś depresja czy coś... Mówię: „Czy jest sens? Umarli obaj, takie tempo, czy dam radę, czy udźwignę to wszystko?”. A on mi się śni, wchodzi do sypialni, te jego ręce charakterystyczne, teraz też tu zresztą słucha cały czas, o, tu jest zdjęcie na pianinie, wchodzi i mówi: „Matka” - bo tak do mnie mówił - „Matka, ty nie myśl o niczym, tylko bierz się do roboty”. Słuchajcie, wstałam z takim napędem.

Bardzo przeżył śmierć drugiego Zbyszka?

Ponad 30 lat śpiewaliśmy we trójkę czyli w tercecie razem. Nasz wspólny pobyt zagraniczny to osiem lat w Stanach, nie licząc Europy. Od jego śmierci mój Zbyszek właściwie taki bezsens poczuł, tak się zaczął łamać, taki przygarbiony chodził, zamyślony. Nieobecny. Tak jakby go zabrał Zbyszek tamten. Zmarł pół roku później. Postanowiłam, że na grobie napiszę mu te dwa słowa: „Pamelo, żegnaj”.

Ta piosenka ma 37 lat.



Koniec lata 2003, w

domowym ogrodzie Jacek Kuroń wspominał, jak siedział pod koniec lat 60. i miał przody u więźniów, bo potrafił im napisać cały tekst „Pameli” z pamięci, za paczkę papierosów zresztą. To był największy więzienny przebój.

Bo to hymn o poszukiwaniu lepszego życia.

Bardzo ładnie pan to ujął.

Najpierw on mówi: „Słyszysz, Pamelo, ten śpiew i dźwięki gitar - to śpiewają chłopcy z naszego puebla. Jutro o świcie idziemy w świat, głód wypędza nas z tego pustego stepu, na

którym rosną tylko kolczaste opuncje. Może w dalekim mieście znajdziemy odrobinę chleba i odrobinę szczęścia”.

Potem oboje śpiewają, on i ona: „Niebo skąpi suchej ziemi kropli deszczu,/Niebo skąpi szczęścia biednym tak jak my...”. Słuchajcie, cenzura nie chciała tego puścić. Jak to skąpi nam się szczęścia? Wtedy Zbyszek mówi do cenzora: „No przecież my tu śpiewamy muzykę kubańską! A Kuba to rewolucja socjalistyczna”. Cenzor się uśmiechnął i puścił.

A później zdarzały się histerie jak na Beatlesach.

Przeważnie mdlały kobiety. Raz jedna krzyknęła: „O Jezu!”, wszyscy: „Lekarza! Lekarza!”. I później, jak ją ocucili, ona: „Przy »Pameli« poznałam męża”. I wyjaśniła, że mąż już nie żyje. Histerie były i w Warszawie, i pod Warszawą, raz w Olsztynie. Kiedyś, chociaż w latach 90. też się zdarzyło. Przeważnie wspomnienie miłosne.

W jakim wieku była ta wdowa?

Tak koło pięćdziesiątki, ale dużo młodsze przy „Pameli” też mdlały, tylko nie pamiętam już konkretnych powodów.

Na początku lat 90. usłyszałem w telewizyjnym „Leksykonie muzyki rozrywkowej” o nieprawdopodobnej liczbie 17 Złotych Płyt, które otrzymaliście. Mało kto miał o tym pojęcie. Od Polskich Nagrań przez całe lata Złote Płyty dostawaliśmy, tylko prasa o tym nie pisała. Byliście w drugim obiegu.

A przecież w Chicago nagraliśmy płytę dla Sony ze Zbyszkiem Namysłowskim i z jego zespołem! Dostaliśmy angaż w Radio City Musical Chicago, jednej z najlepszych rewii w Ameryce. Większość naszych koncertów to zagraniczne, i nie tylko dla Polonii. W Europie to już głównie nie dla Polaków, w słynnym Tivoli w Danii rok w rok kontrakty.

Dlaczego krytycy uważali waszą muzykę za kiczowatą?

Andrzej Ibis Wróblewski pierwszy tak napisał, a inni już tylko papugowali. Przecież jak długo śpiewamy, nie widziałam wolnego krzesła na widowni, zawsze mieliśmy fule. A prasa to był Ibis, na tamte czasy - jeśli chodzi o recenzje - autorytet dziennikarski.

W latach 70. mówiła pani: „Zbieram na Zachodzie pozytywne opinie za ruch, za prezencję, mam więc jakiś plus, żeby choć to Ibis zauważył”. A on napisał: „Ostatniej płyty Tercetu nawet nie rozpakowałem”.

Nigdy nawet w Opolu nie wystąpiliśmy! Teraz dojrzałam, to naturalne, ale w tamtych latach byłam młodziotka, oburzona, może płakałam nawet. Zbyszek mówił: „Zobaczysz, jeszcze doczekasz. »New York Times« pisze, że wykonałaś lepiej »Cucurrucucu Paloma« aniżeli sam Harry Belafonte”.

Odmieniło się?

Ale dopiero w latach 90. Szymon Szurmiej zaprosił nas na swój benefis, była śmietanka całej Warszawy. Na powitanie powiedział: „Moja kochana królowa Pamela!”, i od tamtej pory zmieniło się wszystko. „Szansa na sukces”, koncert dla „Dwójki” na plaży. Jeszcze kiedyś zdarzały się na widowni różne miny, a teraz oni wszyscy wpatrzeni, jakby się modlili do mnie.

Jak pani myśli, dlaczego?

Ci, którzy nas nie lubili, z biegiem czasu chyba coś już w życiu przeżyli, bo mówią: „To jest fajne, ten Tercet, dlaczego ja się snobizuję?”. Na czacie byłam: „Królowo, króluj nam wiecznie”. Prasa też, ludzie tak jakby mieli trochę wyrzuty sumienia. Najnowsza płyta się podoba, trzy piosenki są jeszcze ze Zbyszkami, jedna jakby pożegnalna - ostatni tekst, jaki Dziewiątkowski napisał w życiu do swojej muzyki. Nadał mu piękny tytuł, po prostu przepiękny.

Jaki?

„Rozstanie jest ostre jak miecz”.

Kiedy tekst jest według pani piękny?

Kiedy jest autentyczny. To mi się u naszych tekściarzy Wenera i Łebkowskiego podobało, że

oni wiedzieli, że w tej muzyce musi być przede wszystkim o miłości, o uczuciu, o różach, o spotkaniu, o gitarze, no tak właśnie. Na przykład młody tekściarz Lenda to czuje. Napisał na ostatnią płytę niesamowity tekst „Iza”.

„Jestem tu całkiem sam, nagle blask, nagle szał. Przyszedłeś tu, przyszedłeś tu tylko dla mnie. Jesteś ze szkła, delikatna jak mgła. Twoje oczy, twoje oczy patrzą na mnie. Iza, Iza, czy ty kochasz mnie? Noc za nocą płynie, dzień za dniem...”

No, czy to nie piękny tekst?!

W Stanach przyjmowano was bez etykietek?

W Stanach po prostu dla nas wariowali. Polonia to już owacje na stojąco. Zresztą owacje w Toronto nas zainspirowały, że całą płytę nagraliśmy. Nie macie, panowie, właśnie tych piosenek patriotycznych?

Patriotycznych nie.

Bardzo piękne. „Jestem dumny, że jestem Polakiem” na przykład, piękny utwór. O papieżu... A raz po koncercie pojawił się bukiet kwiatów, w którym ukryty był brylant?

Ja nigdy tego specjalnie nie mówiłam. Komu to mogłam mówić? No, był brylant, był. Ale przede wszystkim miałam wypadek z ręką w Nowym Jorku. Polonia się dowiedziała o tym, dostałam osobny pokój w szpitalu, cały w kwiatkach, w jednym bukiecie na przykład zawinięte tysiąc dolarów. W ogóle mnie nazywali w szpitalu słoneczkiem, że nie narzekałam, mimo że straszne bóleści przechodziłam, bo nie ma nic gorszego, jak stracić palce.

Jedziemy z koncertu na koncert, ja umalowana, oczywiście cała muszę być taka. Chciałam się poprawić w busie, złapałam się ramy drzwi, a nie było tej gumy. Mówię: „Koledzy, jedziemy”, ten kolega z przodu - bach - drzwi zasunął. Palców dosłownie nie ma! Zaraz pogotowie, ja wtedy mówię do chłopaków, do Adamkiewicza, bo Zbyszek, mój mąż, płakał: „Wody!”. Chciałam się napić, a on przynosi w kubku i chlusnął na mnie. Wtedy ja krzyknęłam: „Jezus Maria, makijaż mi polał”. Ale człowiek jest pusty! Rękę czarną miałam. Chirurg zobaczył i mówi: „Pani Izabello, musimy amputować”.

Ale pięknie się udało.

Naprawdę pięknie, straciłam tylko dwa palce, takie tutaj mam nakładki. To było w 1984 roku, chciałam to jakoś utrzymać w tajemnicy. Inne czasy były, ludzie niepotrzebnie się blokowali. I w bukiecie w szpitalu zauważyła pani brylant?

Jeszcze nie wtedy. Jeździliśmy z paradą polskich gwiazd, dostawałam często koperty. Bo wiedzieli wielbicie, że jedziemy autobusem 15 godzin, to nie dawali po prostu kwiatów, tylko kopertę. Zawsze tak rozumowałam, Hanka Bielicka zresztą też - jeżeli już daje, to niech będzie nawet 50 centów czy dolar, ale to jest serce jego. No i wszystkie koleżanki oburzone, że koperta, a Hanka Bielicka: „Dziękuję, moje dziecko, cmok, cmok”, i ja: „Dziękuję panu bardzo”. My otwieramy, a to sto dolarów, jak na tamte czasy suma ogromna. Później już wszyscy brali koperty (śmiech).

Ale co z brylantem?



Koniec lata

2003, na przydomowym basenie Piękny brylant od takiego rzeźnika. On był taki szczęśliwy, że ja w finale dwa słowa z nim zamieniłam, rękę mu podałam. W Toronto regularnie dostawałam wiązanki kwiatów z pierścionkami. Właściwie ten dom jest za biżuterię, którą dostałam w prezentach (śmiech). A jak ktoś chciał być elegancki, a nie znał rozmiaru palca, to dawał mi monetę z Kennedym w złocie.

Ten rzeźnik miał niedwuznaczne zamiary?

Ależ skąd. On, że bym nie poczuła się źle, na następny dzień proponował przejażdżkę po mieście i kupował coś mężowi.

A potem powrót do biednej, socjalistycznej Polski.

Biedę znam. Ojciec był organistą we Wrocławiu, a wcześniej w Osieku, bo tam przyjechał ze Stanisławowa. Nie dostał nic od swoich rodziców i żył pod skrzydłami Kościoła. Będąc młodą dziewczuszką, angażowałam się jako modelka, śpiewałam na różnych imprezach w podwrocławskich wsiach, zarobiłam sobie 20 złotych. A już za to można było kupić buty. I wtedy mama mówiła: „Iza, choćbyś osiągnęła największy sukces, największy szczybel i szczyt, nigdy nie bądź zarozumiała. Życie ci to wynagrodzi”. Mama opowiadała, że gotowało się pokrzywę, bo było tak biednie za czasów stalinowskich. Ona nawet tej zupy z pokrzyw nie jadła, żeby dla nas starczyło.

Od amerykańskiego nadmiaru nie przewróciło się pani w głowie?

Po pierwszym powrocie ze Stanów, wstyd mi do tej pory za to, wracam do moich koleżanek, śpiewaczek z operetki. W hotelu Monopol się spotkałyśmy, a wcześniej przychodziłyśmy tam na wodę sodową, bo wszyscy byli równo biedni. I ja krzyczę: „Whisky poproszę dla wszystkich! Ja płacę!”. A przecież ani ja, ani one nigdy whisky nie lubiłyśmy. Ach, do tej pory jest mi wstyd, że popadłam w tym Monopolu w taką pustotę.

Jak koleżanki zareagowały?

Z uznaniem, że Iza z Ameryki to wie, co zamawia. Okropne!

A tata jaki był?

Skończył szkołę organistów w Przemyślu i na siłę chciał nas wszystkich nauczyć grać na organach. Czasami ojciec przesadzał z dyscypliną, ale nie dziwię się, bo był torturowany przez SB. Ojciec był prześladowany za udział w AK i wracał z więzienia nerwowo. Ja wtedy taka maleńka, nie wiedziałam, dlaczego tata jest wściekły. Do mnie należało zamiatanie podwórka na plebanii, co mi się nie podobało.

Było nas trzy córki, dwóch chłopaków. To, że wszyscy matury zdaliśmy, to jego zasługa.

Siostra akademię muzyczną skończyła, grała na organach. Byłam szczęśliwa, gdy mogłam tacie przywieźć sztuczne żyły z Kalifornii na wymianę.



Rodzina

Dziewiątkowskich, początek lat 90. Pomogły?

Uratowały na długie lata, bo miał zatory. Mama już nie wstawiała, zawsze przywoziłam jej jakieś papcie kolorowe, żeby sobie patrzyła, nakładała i miała ładne. Kiedyś lekarstwa były potrzebne, szukam w Amsterdamie, gdzie jest kartka z nazwami, kuferek zapinam, nie zauważyłam, że się schody zaczęły, i poleciałam na dół głową, tak „tu, tu, tu, tu, tu” i na dół. Przymożność straciłam. Wtedy mieliśmy jeszcze koncert wieczorem, w variétés. Właściciel mówi: „Chryste!”, bo mieliśmy takich z mafii wielbicieli stałych, którzy płacili jak za zboże, żeby tylko Tercet oglądać. Ja mówię: „Nie mogę się ruszać”, wszystko miałam potłuczone, jeszcze nie wiedziałam, że mam pęknięcie czaszki. Ubrali mnie i dwie piosenki wolne tylko zaśpiewałam, powiedzieli, że jestem po wypadku, przepraszają. No, ale musieli zobaczyć Izabellę ci mafiosi, bo jak im się coś nie podobało, to rujnowali całe wnętrze.

W Holandii taka mafia?

Tak, filipińska.

Dzięki Tercetowi variétés stało?

Wyraźnie byli zadowoleni. Jak ich szef bił brawo, wtedy i oni bili brawo. Raz nagle ten szef koniak za pięćset dolarów kupuje. „Izabella, koniecznie napij się”. Mówię: „Nie mogę, ja mam słabą głowę”. Ale w tym variétés byliśmy filarowym numerem, właścicielowi zależało: „Słuchaj, Izabella, znowu ta mafia przyszła, zobacz, pełno przyszło z nimi, wypij ten najdroższy koniak, to ważniejsze niż koncert”.

Pani jest jak bohaterki „Dynastii”, które nieustannie się odradzają. Niezniszczalne.

Pierwszy znak poczułam w marcu 1980 roku. Mieliśmy bilety na samolot do Warszawy, którym poleciała Ania Jantar. Dzień wcześniej znajomi uparli się, żebyśmy jeszcze zostali, a bilety nam zmieniają. Rano Zbyszek słucha dziennika, szok! No, nie do uwierzenia!

Pomyślałam: „Jeszcze nas tam nie chcą na górze”.

Odtąd miała pani poczucie specjalnej ochrony?

Do choroby mojej córki Ani nie miałam pełnej świadomości, że ktoś czuwa. Ale gdy nie dali mi lekarze żadnej nadziei... Operacja miała trwać dziewięć godzin, rzadki nowotwór, tylko 19 przypadków na świecie. Poszliśmy z młodszą córką na USG. Bała się, to mówimy do Ani, bo miała już 12 lat: „Zrób sobie ty, niech Kasia zobaczy, że to nie boli”. Boże! Okazało się, że

Ania ma złośliwy guz pod wątrobą. Rozpoczęło się dziewięć miesięcy w szpitalu.

Jak pani to przetrwała?

Wtedy zadałam sobie mnóstwo pytań, na które znalazłam odpowiedź, ale na wiele nie znalazłam do dziś. Postanowiłam jednak się zmienić. W szpitalu nie było podziału: matka bogata, biedna, wykształcona i nie, wszystkie byłyśmy sobie równe w cierpieniu. Jeśli inne matki musiały wyjść do pracy, to ja chodziłam koło tych dzieci. Taki Pawełek leżał, miał śpiączkę. Jak on się bronił bardzo! Jak chciał żyć. Mówię: „Pawełku, pościelę ci to łóżko”. A on - nie: „Ja muszę sam pościelić, bo jak nie będę się ruszał, to zasnę i się nie obudzę”. Przychodzę, patrzę, a jego już nie ma. Oczywiście nie mogę przy Ani płakać. Wychodzę z sali, taki kieliszeczek uspokajającego płynu mi pielęgniarki dały. Nie zapomnę momentu, jak takie dziecko zostało opuszczone przez matkę. Po prostu przestała przychodzić do szpitala. Sokowirówkę przyniosłam, żeby matki dzieciom robiły soki, aby zwalczyć komórki nowotworowe. I to dziecko mówi: „Niech mi pani da jeden soczek”. Wtedy się dowiedziałam, że to opuszczona dziewczynka. Od tej pory zawsze przynosiłam dla obu.

Potem to moje dziecko wracało, bez brwi, bez włosów, chudziutkie takie. I nagle się odradza powoli, aż taka dorodna się robi. Nie mogę uwierzyć, więc czy nie trzeba Bogu podziękować? Na scenie jest rewelacyjna, aż żałuję, że z estrady zrezygnowała, bo tańczyła świetnie. Mam nadzieję, że na scenie zostanie Kasia, bo pięknie śpiewa.

Więc Ania wygrała!

Zdała maturę w Stanach, w Illinois. Nie powiedziała nam, że dwie klasy zrobiła w jeden rok. Wracamy z lotniska, nagle mówi: „Zatrzymajcie się w lesie”, wchodzi do jakichś krzaków, zakłada ten swój uniform szkolny, czerwony, pelerynę, czapkę. I wychodzi ze świadectwem i śpiewa hymn szkoły, i pokazuje, że o rok wcześniej skończyła. Miałam tylu doradców: jak mogę wysłać dziecko po takiej chorobie do obcego kraju? A ja wiedziałam, że ona chce udowodnić, że jest silna. Wiecie, że w pewnym momencie poczułam, że Ania wyzdrowieje? Jak?

Poszłam do spowiedzi. Niektórzy mówią: „Jestem wierząca, ale nie chwalebę się tym”. To do kitu z taką wiarą! (śmiech). Jak jesteś wierzący, to mów o tym.

Modłę się: „Boże, ukarż mnie, może i rozrabiałam trochę w życiu, może jestem winna, dlaczego mi zabierasz to dziecko upragnione, które tak strasznie kocham?”. Bo 13 długich lat czekałam na Anię, cały czas się leczyłam. Przyjęłam komunię, wracam, tak się skupiam. Raptem, to było coś niesamowitego, tak jakby jakaś luna. Gdy Ania się urodziła, gronkowiec panował i na 13 dzieci ona jedna wyszła z niego, więc jakbym usłyszała głos: „Przecież gdybym miał ci zabrać to dziecko, już bym ci zabrał wtedy!”.

To był głos czy myśl?

Głos i jakby luna, ja to widziałam po prostu. Nie chciałam odwracać głowy, nie chciałam nic, tylko zostałam w tym i uspokoiłam się. Byłam w stu procentach przekonana, że dziecko wyzdrowieje. Następnego dnia 20 lekarzy do operacji, miała trwać dziewięć godzin, po godzinie przybiega ordynator: „Już guz jest usunięty”. Od tamtej pory zawsze na koncercie stoi pudełko na datki. Ze Stanów dość duże sumy przywozimy i wspieramy szpitale.

Nie wiem, czym zasłużyłam, ale od tamtej pory wszystkie sytuacje tak potrafię przetrwać, przeczekać, przemilczeć, sił mam tyle. Mam dużo tolerancji nawet dla złośliwych ludzi.

Dla prasy też?

Każdemu człowiekowi przebywanie w szpitalu tak wyrównuje spojrzenie na świat, że głupstwa wydają się nieważne. To, że Ibis coś napisał, co to w ogóle znaczy? Podczas choroby Ani i teraz, po śmierci Zbyszka, ludzie podchodzą i przytulają mnie, nawet bez słowa. I płaczą często, ja też zresztą. Naprawdę wybaczam tym dziennikarzom.

Podobno większość koncertów w Polsce graliście na dansingach.

Nigdy w życiu w Polsce nie graliśmy na dansingach. Nie było takiego przypadku.

Ale wiemy to z prasy.

A tak, „Polityka” to napisała niedawno. Nieprawda, Estrada zawsze nam największe sale dawała. Nie wiem, czy Teatr Muzyki i Tańca w Zabrze to jest dancing. Filharmonia we Wrocławiu to jest dancing? To jest, panowie, wyobraźnia dziennikarza.

Może zespoły dancingowe śpiewały wasze piosenki?

Wiele się mówiło, że na dancingach jest grana muzyka Tercetu. Mogę się komuś nie podobać, ale niech nie kłamie. Raz w Sali Kongresowej na dole graliśmy w tym lokalu nocnym, ale to była próba zrobienia w Polsce prawdziwej rewii, z Małgorzatą Potocką i Jurkiem Połomskim. Te słowa mnie wkurzyły, ale potem sobie mówię: „Czy ta »Polityka« jest taka ważna? Iza, idziesz do przodu!”. My byliśmy w świetle i wiedzieliśmy, jak trzeba wyglądać, żeby być dopuszczonym na scenę. Mieliśmy tancerzy, barwne kostiumy, takie, jakie w Ameryce widzieliśmy. Byłam dumna z siebie. Ale wiecie co? Chodźmy na dół do baru.

Do baru?

Na dole mamy w domu bar. „Dziwiątka” - tak zawsze mówiliśmy na Zbyszka - jak tylko wszedł do baru w Ameryce, mówił: „Ja muszę w życiu mieć taki bar”. Więc kiedyś mówię: „Rezygnujesz z garażu?”. Zrezygnował.

A pani o czym marzyła?

O basenie. Przy pierwszym wyjeździe do Stanów to tylko: „Jezus, basen, basen”. A jeszcze wtedy miałam mieszkanie M-3. Gdy jestem rozbita, sama nie wiem, czego chcę, to Rachmaninow. III Koncert dodaje mi siłę i potęgę. Ale jak lampkę szampana wypiję, no to muzyka meksykańska i do basenu! Od razu widzę balkon, a pod nim gość w kapeluszu śpiewa do jakiejś dziewczyny. Zamiast kawy rano też wskakuję. No, to chodźcie, idziemy na dół.

Zdjęcie Ibisa Wróblewskiego?! Nad barem?

Bo kiedy Ania zachorowała, on zadzwonił i powiedział poważnie, że nas wspiera duchowo i zawieszamy broń. Teraz on też już nie żyje...

Można lodu?

Proszę. Używam lodu jak Joan Collins - do twarzy. Nie macie pojęcia, jak to dobrze robi. Wiele osób mi mówi: „Ale pani jest piękna”. A są momenty mojego życia, że czuję się biedna, zamyślona, blada. Jednak mówię sobie: muszę istnieć. Jak tylko są jakieś zwiastuny takiego stanu, wiem, że nie mogę się poddać. Gdybym choć przez chwilę temu uległa, wiem, że nie będę już śpiewać.

Widzę kanadyjską whisky Carrington!

Tyle lat przechodzę obok tej whisky i nie zauważyłam. Ale nie używajcie określenia Carringtonowie.

Dlaczego?

Ludzie plotkowali, że basen jest w kształcie serca, a to nieprawda. To, jak ja mieszkam, to jest normalny standard ludzi w Ameryce. Carringtonowie to była niedobra robota, którą zrobili dziennikarze, obcy ludzie przyjeżdżali pod dom tylko patrzeć, miałam w nocy masę głuchych telefonów. Aż założyłam alarm podłączony do policji.

Do skojarzeń z telenowelą czy „Dynastią” sama pani trochę prowokuje. Na ostatniej płycie pisze pani, że Zbigniew Dziwiątkowski miał śmierć jakby wymyśloną przez scenarzystę w Hollywood.

Bo miał! Pojechaliśmy do Stanów 40. raz, w grudniu 2002 roku, no i już z Włodkiem Krakusem zamiast Zbyszka Adamkiewicza. Wróciliśmy do Wrocławia po sylwestrze, „Dziwiątka” zamknął się i w dwa tygodnie nagrał płytę sam w studiu. 13 stycznia zaprosił gości, aby powitać nowy rok, i pożegnał się ze wszystkimi. Następnego dnia wypowiedział wieczorem ostatnie zdanie przed śmiercią: „Ja już zrobiłem przy tej płycie wszystko. Teraz męczcie się sami”, i poszedł spać.

Umarł na serce tak, jak sobie wymarzył, żeby umrzeć we własnym łóżku, we śnie, w pełnej kondycji fizycznej.

Obok pani?

Ja byłam w swojej sypialni. Ale rano dręczyło mnie, dlaczego powiedział: „Róbcie sobie teraz tę płytę sami”. Omijałam nawet jego pokój, bo myślałam, że może jest czymś poirytowany. Dwa razy poszłam z kawą i nie weszłam. Kasia weszła, pocałowała go w oba policzki, poszarpała, to myślę: wejdę. I już go nie obudziłam.

Ale rozmawia pani z nim.

Moja wiara i nasza miłość sprawiają, że to niemożliwe, aby on ode mnie odszedł. On mi dyktuje moje następne dni, on mi dyktuje moje życie.

W jaki sposób?

Kiedy mam gorsze dni, idę na cmentarz i mówię: „Słuchaj, zostawiłeś mnie tak raptownie bez sensu, pomóż mi teraz”. I potem jestem w domu, on wchodzi do sypialni, trzyma ręce w kieszeni i mówi: „Nie rozpaczaj”. Efekty tego kontaktu czuję. Bo potem wszystko się układa tak, jak ja bym chciała. Nie wiem, na czym jest oparty ten kontakt.

Mąż panią pozyskał do zespołu?

Zbyszek był repatriantem z Grodna, oblał egzaminy na medycynę i poszedł do wojska. A tam do zespołu wojskowego. Wysłali go do szkoły muzycznej. Zawsze kochał jeden filmowy musical meksykański, „Paloma”. Szymon Szurmiej był szefem tego zespołu wojskowego i Zbyszek mu zaproponował utwory jak w tym filmie, a potem z kolegą stworzyli Duet Meksykański słynny na Dolnym Śląsku.

Weszła pani w gotowy pomysł.

Oni to byli gwiazdorzy. Byłam dumna, zaszczycona, że w to wchodzi.

Czy nigdy nie chciała pani śpiewać czegoś bardziej skomplikowanego?

Ciągnęło mnie do opery i operetki. Zaraz po skończeniu szkoły zostałam zaangażowana do operetki, bo grałam na altówce. Artemska, dyrektorka, pozwoliła mi tylko dwa tygodnie siedzieć w orkiestrze i powiedziała: „Chodź, z twoją urodą będziesz na scenie, bo jesteś za atrakcyjna”. Kazała mi ćwiczyć razem z baletem. Później dostałam rolę w polskiej prapremierze operetki Talarczyka „Mów mi Teo” o przygodach Amerykanina nad Bałtykiem. To były lata 60. Śpiewałam pierwszą premierę.

Mąż powiedział kiedyś, że samb brazylijskich nie lubi, bo są nudne. Czyli nie traktował jednakowo całej muzyki latynoskiej?



Z nowymi muzykami

Tercetu w domowym barze Oczywiście, że nie. Ja zawsze czułam się latynoską, nawet Artemska obsadziła mnie w „Balu w Savoyu” jako Tangolitę, ale już nie zaśpiewałam, bo mnie Dziewiątkowski porwał. Artemska widziała mnie na koncercie w kinie Śląsk i mówi: „Jesteś urodzona do tego, jako dyrektor cię nie zwalniam, ale jako starsza koleżanka radzę: idź, bo masz talent estradowy”. Od samego początku kupiłam od chłopaków wszystko na sto procent.

A skąd w mężu taka konsekwencja, żeby grać tylko ten jeden jedyny gatunek?

Coś wam powiem: to są podkładki pod szklanki i talerze. Takie podkładki zbierał.

Same palmy na nich i plaże!

Bo Zbyszek zbierał kartki, znaczki, pocztówki z palmami. Jemu cała ta kultura odpowiadała.

Uwielbiał wprost. Był bardzo romantyczny. Pogłębialiśmy basen, to on miał pomysł, żeby podświetlić wodę w środku, bajecznie to wygląda. No, nauczył mnie wszystkiego. Nawet, widzicie panowie, wczoraj śmierć siostry...

Wczoraj?!

Tak. Myślę: czy nie odwołać wywiadu, czy będę w stanie coś mówić? Ale nie, no muszę, tak by Lena chciała. Ona też była muzykiem i też zawsze w przodzie życia, mimo że tak strasznie chorowała.

Wiecie, moja żaloba inaczej wygląda niż u innych ludzi. Ból to chyba każdy ma jednakowy, bólu nie można zmienić. Można go zabić, można zagłuszyć...

...i można go zaśpiewać?

Zabić muzyką. Oddać się jej. I ja właśnie tak się oddałam dokładnie.

Współautorem rozmowy z Izabellą SkrybantDziewiątkowską, wokalistką legendarnego Tercetu Egzotycznego, jest Dariusz Zaborek